

WIKTOR HUGO

HAN Z ISLANDYI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
TOM TRZECI  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA

HAN Z ISLANDYI

WIKTOR HUGO

HAN Z ISLANDYI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
**TOM TRZECI**  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA



173535 / 3

~~~~~  
Druk Synów St. Niemiry — Warszawa, plac Warecki 4.

K-226/86

| 173537

## I

Maska się zbliża: to Angelo. — Hul-  
taj zna się na swojej sztuce; musi  
być pewnym siebie.

*Lessing.*

W odwiecznym lesie dębowym, gdzie zaledwie  
się przedziera błądy brzask poranku, człowiek niskiego  
wzrostu zbliża się do drugiego, który snąć go oczeki-  
wał. Potem zaczyna się rozmowa, prowadzona szeptem:

— Niech wasza miłość raczy mi przebaczyć opóź-  
nienie; złożyły się na nie różne i dziwne przyny.

— Jakież?

— Dowódca górali, Kennybol, przybył na miej-  
sce zebrania dopiero o północy; a za to zostaliśmy za-  
niepokojeni niespodzianem zjawieniem się tajemniczej  
osobistości.

— Któż to był?

— Człowiek, który, jak szalony, wpadł do ko-  
palni w czasie naszego zgromadzenia. Myślałem z po-  
czątku, że to szpieg i poleciłem go sprzątnąć. Okazało  
się jednak, że miał przy sobie kartę bezpieczeństwa  
jakiegoś wisielca, otoczonego szczególnym szacunkiem  
naszych górników; wzięli go więc pod swoją opiekę.  
Po rozwadze przyszedłem do wniosku, że to musi  
być jakiś ciekawy podróżnik albo uczonec. Na wszelki



przypadek wszakże zarządziłem względem niego odpowiednie środki.

— A zresztą czy wszystko dobrze idzie?

— Jak najlepiej. Górnicy z Guldbranshal i Fa-roer, pod dowództwem młodego Norbitha i starego Jonasza, a także górale z Kole, prowadzeni przez Kennybola, w tej chwili muszą już być w drodze. O kilka mil od Niebieskiej Gwiazdy, łącząc się z nimi ich towarzysze z Hubfallo i Sund-Moere. Górale z Konsbergu i oddział górali ze Smiasen, który zmusił garnizon walhstromski do cofnięcia się, jak o tem wiadomo szlachetnemu hrabiemu, czekają o kilka mil dalej. Wszystkie te oddziały, zebrawszy się, staną na nocleg dzisiejszej nocy o dwie mile od Skongen, w wąwozach pod Czarnym Słupem.

— A twego Hana z Islandyi, jakże przyjęli?

— Z całą łatwowiernością.

— Czemuż nie mogę na tym potworze pomścić śmierci mojego syna! Co za szkoda, że się nam wymknął!

— Szlachetny panie, użyjcie najprzód imienia Hana z Islandyi, ażeby się zemścić na Schumackerze; pomyślimy potem nad sposobem pomszczenia się na samym Hanie. Powstańcy będą szli cały dzień dzisiejszy i, jak mówiłem, noc przepędzą w wąwozach, o dwie mile od Skongen.

— Jaktó! pozwoliłbyś tak znacznym siłom dojść aż pod Skongen, Musdoemonie?...

— Niema obawy, dostojny hrabio! Niech tylko wasza miłość raczy natychmiast wyprawić posłańca do pułkownika Voethauna, którego pułk musi być obecnie

w Skongen; trzeba go zawiadomić, że wszystkie siły powstańcze będą dzisiejszej nocy obozowały w wąwozie pod Czarnym Słupem, który jest jakby przez naturę przeznaczony do zasadzek...

— Rozumiem cię. Ale po co było, mój kochany, zgromadzać umyślnie tak znaczne siły?

— Im powstanie będzie groźniejsze, tem większą będzie zbrodnia Schumackera, a zasługa waszej miłości. Zresztą bunt trzeba stłumić jednym zamachem.

— Dobrze! Dlaczego jednak mają obozować tak blisko Skongen?

— Ponieważ to jedyne miejsce w całych górach, gdzie obrona jest niemożliwą. Wyjdą stamtąd ci tylko, którzy mają stanąć przed trybunałem.

— Doskonale! Coś jednak mówi mi, Musdoemonie, żeby jak najprędzej zakończyć całą tę sprawę. Jeśli z jednej strony jestem zupełnie spokojny, z drugiej za to bardzo się obawiam. Zarządziliśmy, jak wiesz, w Kopenhadze sekretne poszukiwanie papierów, które mogły wpaść w ręce tego Dispolsena...

— I cóż stąd, panie hrabio?

— Otóż dowiedziałem się przed chwilą, że intrygant ten zostawał w potajemnych stosunkach z astrologiem Cumbylusem...

— Z tym, co umarł niedawno?

— Tak jest. Otóż ten stary czarnoksiężnik, umierając, oddał ajentowi Schumackera papiery...

— Przekleństwo! On miał moje listy i cały nasz plan..

— Twój plan, Musdoemonie.



— Najmocniej przepraszam, szlachetny hrabio. Ale bo po cóż wasza miłość tak zaufał temu szatanowi Cumbylusowi?... temu staremu zdrajcy?

— Słuchaj, Musdoemonie. Nie należę do tych, którzy, jakty, w nie i nikomu nie wierzą. I nie bez powodów, mój kochany, miałem zawsze zaufanie do umiejętności starego Cumbylusa.

— Szkoda, że wasza miłość pokładał równe zaufanie w jego wierność. Nie trwóżmy się jednak, szlachetny panie. Dispolsen umarł, a jego papiery zginęły. Za kilka dni nie będzie nawet mowy o tych, którym mogły być użyteczne.

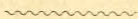
— Zdaje mi się, że żadne oskarżenie nie zdołałoby mnie osiągnąć...

— Również i mnie, protegowanego waszej miłości...

— O! tak, mój kochany, możesz liczyć na mnie. Spieszmy się jednak z zakończeniem tej sprawy. Natychmiast wyprawiam posłańca do pułkownika. Chodź— ludzie moi czekają po za tą gęstwina. Musimy wrócić się do Drontheim, skąd Meklemburezyk wyjechał już zapewne. Służ mi i nadal wiernie, a pomimo wszystkich Cumbylusów i Dispolsenów, możesz na mnie rachować zawsze!

— Niech wasza miłość raczy być pewnym mej wierności...

Ruszyli z miejsca i weszli w głąb lasu, a po chwili słychać tylko było oddalający się tentent ich koni



## II

...Uderzajcie w bębny! Nadchodzą!  
...Wszyscy złożyli przysięgę, że nie powrócą do Kastylii bez uwzięonego hrabiego, ich pana.

Jego posąg kamienny wiozą na wozie, a postanowili cofnąć się wtedy jedynie, kiedy ten posąg się cofnie.

.....  
I idą ku Arlançon, tak szybko, jak mogą nadażyć woły, które wóz ciągną; nie zatrzymują się wcale, jak i słońce nigdy nie staje.

Burgos jest puste: pozostały tam tylko kobiety i dzieci: tak samo jest pusto w okolicy.

Idą razem, rozmawiając o koniach i sokołach; rozważają, czy nie uda się uwolnić Kastylii od haraczu, jaki płaci królestwu Leonu.

Przed wejściem do Nawarry, spotykają na granicy...

*Romans hiszpański.*

Podczas kiedy w lesie, okalającym Smiasen, odbywała się rozmowa wyżej powtórzona, powstańcy, podzieleni na trzy kolumny, wyszli z kopalni ołowiu Apsyl-Corh, przez główne wyjście, prowadzące do głębokiego wąwozu.



Ordener pragnął zbliżyć się do Kennybola, lecz umieszczony został w oddziale Norbitha. Widział on z początku tylko długi szereg pochodni, których blaski, walcząc z pierwszym brzaskiem dziennym, odbijały się na toporach, widłach, motykach, ostro zakończonych maczugach żelaznych, olbrzymich młotach, drągach i wszelkiego rodzaju broniach, wypożyczonych przez powstanie od pracy, a zarazem na broni prawdziwej, więc na muszkietach, pikach, szablach, karabinach i rusznicach. Posiadanie przez powstańców oręża wojennego świadczyło, iż bunt był owocem spisku.

Kiedy słońce weszło, a światło pochodni straciło się i stało się dymem tylko, Ordener mógł lepiej przypatrzeć się tej dziwacznej armii, postępującej w nieładzie, z ochrypłemi śpiewy i dzikimi krzyki, podobnej do stada zgłodniałych wilków, szukających żeru. Dzieliła się ona na trzy oddziały, albo raczej gromady. Na czele, pod dowództwem Kennybola, szli górale z Kole, podobni do niego ubiorem ze skór dzikich zwierząt i wyrazem twarzy śmiałym i surowym. Za nimi postępowali młodzi górnicy Norbitha i starego Jonasza, w wielkich kapeluszach, szerokich szarawarach, z gołemi rękami i czarną twarzą, zwracając ku słońcu bezmyślne spojrzenia. Po nad temi gromadami, kroczącymi w nieładzie, powiewały chorągwie ognistego koloru, na których można było czytać różne napisy, jak: „Niech żyje Schumacker!“ — „Wyswobodźmy naszego zbawcę!“ — „Wolność dla górników!“ — „Wolność dla hrabiego Griffenfelda!“ — „Śmierć Guldenlewowi!“ — „Śmierć gnębicielom!“ — „Śmierć Ahlefeldowi!“

Chorągwie te rokoszanie uważali raczej za ciężar aniżeli za ozdobę; przechodziły więc z ręki do ręki, skoro tylko chorążowie uczuli się utrudzonymi lub też zapragnęli przenikliwe brzemienia swych rogów połączyć ze śpiewami i wrzaskami swych towarzyszy.

Tylną straż tej dziwacznej armii tworzyły ciągnięte przez renifery i osły trzy wozy, na których zapewne wieziono zapasy.

Sprowadzony przez Hacketa olbrzym, szedł sam na czele, uzbrojony w maczugę i topór, a za nim, w pewnej odległości i z widoczną obawą, postępowaly pierwsze szeregi Kennybola, który nie spuszczał oczu z olbrzyma, jak gdyby chciał widzieć swego szatańskiego wodza we wszystkich postaciach, jakie podobałoby mu się przybrać.

Zastęp rokoszan z głuchą wrzawą, napelniając jodłowe lasy odgłosem rogów, schodził z gór północnej części Drontheimhuusu. Wkrótce powiększyły go bandy z Sund-Moer, Hubfallo, Konsbergu i oddział kowali ze Smiasen, który z resztą powstańców dziwną przedstawiał sprzeczność. Składali go ludzie wysocy i silni, uzbrojeni w cęgi i młoty, mający zamiast pancerzy szerokie fartuchy skórzane, a zamiast sztandarów—krzyż drewniany. Szli oni poważnie i miarowym krokiem, w porządku raczej religijnym niż wojskowym, śpiewając, zamiast pieśni wojennych, psalmy i kantyczki. Prowadził ich człowiek, niosący krzyż i wcale nie uzbrojny.

Powstańcy nie spotykali na drodze żadnej istoty ludzkiej. Za ich zbliżeniem, pasterz wpędzał swoją



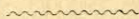
trzędę do pierwszej lepszej jaskini, rolnik uciekał ze swej wioski. Mieszkańcy bowiem płaszczyzn i dolin wszędzie są jednacy; zarówno lękają się trąbki bandyty, jak i rogu łuczników.

Przebywszy w ten sposób wzgórze i lasy, ożywione gdzieniegdzie miasteczkami, kroczyli dalej po krętych drożynach, gdzie łatwiej można było znaleźć ślad dzikiego zwierza niż człowieka, mijali jeziora, przechodzili przez potoki, wzgórze i bagniska. Ordener zupełnie nie znał tych miejsc. Raz tylko jego spojrzenie spotkało na horyzoncie odległy i niebieskawy widok zgarbionej skały. Nachyliwszy się tedy do jednego ze swych towarzyszy, zapytał:

— Przyjacielu, co to za skała tam, na południu, z prawej strony?

— To Szyja Sępa, skała Oelmoe — odparł zapytany.

Ordener westchnął głęboko.



### III.

Kto pochwali zbrodnię, by cnotę  
poniżyć?

*Kotzebue „Adelajda von Wolfingen“.*

Małpka, papugi, grzebyki i wstążki, wszystko przygotowała hrabina Ahlefeld na przyjęcie porucznika Fryderyka. Przytem kazała wielkim kosztem sprowadzić ostatni romans słynnej Scudery. Z jej też rozkazu oprawiono go bogato w srebro i złoto, i położono między flaszeczkami wonnych esencji i pudełkami muszek, na eleganckiej tualecie ze złożonemi nóżkami, zdobnej mozaiką z drzewa, którą poleciła ustawić w buduarze swego ukochanego syna. Te macierzyńskie starania na chwilę przytłumiły nienawiść do Schumackera i Etheli. Odjazd generała Lewina pozostawił nieszczęśliwych bez żadnej obrony, lecz załatwiwszy się z niemi, wróciła znów do szatańskiego dzieła zgnębienia i wtrącenia ich w otchłań zguby.

W ostatniem czasie zaszło w munckholmskiej wieży wiele rzeczy, o których hrabina nie mogła się dokładnie wywiedzieć. Kto był ten wazal czy chłop, którego według dwuznacznych i mętnych napomknien Fryderyka, miała kochać córka byłego kanclerza? Jakie stosunki istniały pomiędzy Ordenerem i więźniami munckholmskimi? Dlaczego Ordener był nieobecny



w chwili, kiedy oba królestwa zajmowały się tylko jego blizkiem małżeństwem z Ulryką Ahlefeld, które on zdawał się tak lekceważyć? Nakoniec, co zaszło między Lewinem Knud i Schumackerem, podczas ich widzenia się, o którym generał nie chciał jej dać żadnych szczegółów?... Umysł hrabiny gubił się w przypuszczeniach. Postanowiła wreszcie, dla wyjaśnienia wszystkich tych tajemnic, pójść za radą, którą jej podszepnęła ciekawość kobieca i nienawiść, udała się przeto sama do Munckholmu.

Pewnego wieczoru, kiedy Ethel, spędzając samotnie chwile w ogrodzie zamkowym, po raz szósty przy najmniej dyamentem pierścionka wyryła jakąś cyfrę tajemniczą na czarnym filarze bramy, w której znikł tak już dawno Ordener, skrzydła bramy otworzyły się. Dzieweczka zadrżała. Po raz to pierwszy te wrota otwierały się odkąd się zamknęły za jej ukochanym.

Kobieta wysoka i blada, biało ubrana, stanęła przed nią. Na jej ustach Ethel widziała uśmiech słodki, jak miód zatruty, a po za jej rzekomo spokojnem i życzliwem spojrzeniem, można było dostrzedz wyraz nienawiści, złości i mimowolnego podziwu.

Ethel patrzyła na nią z obawą. Oprócz starej mamki, która umarła na jej rękę, nie widziała innej kobiety w posępnych murach munckholmskiego zamku.

— Moje dziecię — zapytała nieznajoma pieszczotliwie — wszak jesteś córką tutejszego więźnia?

Ethel instynktownie odwróciła głowę; przeczuła w nieznajomej dwulicowość, obłudę, zdawało się jej, że ze słów pieszczotliwych jad złości płynie. Odparła jednak:

— Jestem Ethel Schumacker. Ojciec mówi, że w kołyse nazywano mnie hrabianką Tongsberg i księżniczką Wollin.

— Twój ojciec to mówi! — zawołała nieznajoma szyderczo, niezwłocznie jednak zapanowała nad sobą i znów dawnym zapytała tonem: — Wiele doznałaś nieszczęść, moje dziecię!

— Od urodzenia nieszczęście chwyciło mnie w swoje żelazne ramiona — odpowiedziała dziewczeczka. — Szlachetny mój ojciec mówi, że opuści mnie ono dopiero przy śmierci.

Na ustach nieznajomej zjawił się uśmiech złośliwy; po chwili badała dalej:

— I nie szmerzesz przeciw tym, którzy na całe życie wtrącili cię do więzienia? Nie przeklinasz sprawców waszego nieszczęścia?

— O nie, bo lękam się, aby nasze przekleństwa nie sprowadziły na nich męczarni, jakie oni nam zadają.

— A czy znasz sprawców tych męczarni?

Ethel myślała przez chwilę, poczem rzekła:

— Wszystko się stało z woli nieba.

— Czy ojciec nie mówi ci nigdy o królu?

— O królu?... Za niego modłę się rano i wieczór, choć go nie znam wcale.

Ethel nie zrozumiała, dlaczego nieznajoma, usłyszawszy jej odpowiedź, przygryzła wargi.

— Czy twój nieszczęśliwy ojciec nie wymienia ci w gniewie swoich nieubłaganych wrogów: generała Arensdorfa, biskupa Spolyson i kanclerza Ahlefelda?

— Zupełnie nie znam tych nazwisk.



— A czy jest ci znajomem nazwisko Lewina Knud?

Wspomnienie sceny, jaka rozegrała się przed dwoma dniami między gubernatorem drontheimskim i Schumakerem, zbyt było świeże w umyśle Etheli, aby jej nie uderzyło nazwisko Lewina Knud.

— Lewina Knud? — powtórzyła. — Jest to człowiek, dla którego mój ojciec zdaje się mieć wiele szacunku i życzliwości.

— Jakto?

— Jego to właśnie mój ojciec i pan bronił gorąco przed gubernatorem Drontheimu—objaśniła Ethel. Słowa te zwiększyły jeszcze zdumienie nieznajomej.

— Przed gubernatorem Drontheimu! — rzekła. — Nie żartuj sobie ze mnie, moje dziecię. Twój ojciec miałby bronić przed gubernatorem Drontheimu generała Lewina Knud?!

— Generała? Zdaje mi się, że kapitana... Ale prawda; masz pani słusność. Mój ojciec, — mówiła dalej Ethel — zdawał się zachowywać tyle życzliwości dla generała Lewina Knud, ile znów okazywał nienawiści dla gubernatora Drontheimhuusu.

— A to szczególna zagadka—szepnęła do siebie blada kobieta, której ciekawość coraz bardziej wzrastała. — Moje dziecię — dodała głośno—cóż to zaszkodzi takiego między twym ojcem i gubernatorem?

Uporczywe badanie nieznajomej zużyło biedną Ethelę.

— Czy jestem występna, że mnie pani badasz? — zapytała.

Na te słowa, tak proste i szczerze, nieznajoma zmieszła się, jak gdyby spostrzegając, że się zdradziła niebacznie; mówiła jednak dalej głosem lekko wzruszonym:

— Nie odzywałabyś się tak, moje dziecię, gdybyś wiedziała po co i od kogo przychodzę.

— Jakto! — zawołała Ethel — czyżby to on panią tu przysłał? Pani przynosisz mi wiadomość od niego?...

Żywa fala krwi zarumieniła jej piękną twarzyczkę, serce silniej uderzyło, pobudzone obawą i niecierpliwością.

— Od kogo? — spytała nieznajoma.

Dzieweczka wstrzymała się w chwili, kiedy już miała wymówić uwielbiane imię. Ujrzała w oku nieznajomej błysk złowieszczej radości, podobny do piekielnego promienia; rzekła więc smutno:

— Pani nie wiesz o kim mówię...

Zawiedzione oczekiwanie odmalowało się po raz drugi na twarzy nieznajomej.

— Biedne dziecię! — zawołała — czy mogę co dla ciebie uczynić?

Ethel nie słyszała jej. Myśl jej dążyła po za północne góry, w ślad za śmiałym podróżnikiem. Zwieściła głowę i dłonie mimowoli złożyła.

— Czy twój nieszczęśliwy ojciec ma nadzieję wydobycia się z więzienia? — znów rozpoczęła badawczo nieznajoma.

Pytanie to, drugi raz już powtórzone, obudziło Ethelę z zamyślenia.

— Tak — odparła i łza spłynęła z jej oka.





Na te słowa oczy nieznajomej zamigotały złowrogo.

— Ma nadzieję, powiadasz! Ale jak? jakim sposobem?... kiedy?...

— Ma nadzieję opuścić to więzienie, ponieważ spodziewa się wkrótce pożegnać i życie.

W prostocie młodej i czystej duszy tkwi niekiedy potęga, która nie lęka się podstępów serca ztwardziałego w złości. Myśl ta może zaniepokoiła nieznajomą, gdyż twarz jej zmieniła się nagle; położyła swoją zimną rękę na ramieniu Etheli i rzekła, udając szczerłość:

— Słuchaj mnie, dziecko. Czy wiesz, że twojemu ojcu grozi nowe śledztwo sądowe? że podejrzewają go o podżeganie górników do buntu?...

Słowa *bunt i śledztwo* niezrozumiałe były dla Etheli; zwróciła czarne swoje oczy na nieznajomą.

— O czym pani mówisz? — spytała.

— Mówię, że ojciec twój spiskuje przeciw królowi i że ta zbrodnia pociąga za sobą karę śmierci...

— Śmierć! zbrodnia! — zawołała Ethel.

— Zbrodnia i śmierć! — potwierdziła z naciśnięciem nieznajoma.

— Mój ojciec! mój szlachetny ojciec! On, który pędzi dni słuchając, jak mu czytam Eddę albo Ewangelię! On miałby spiskować? Ale cóż on pani uczynił takiego?

— Nie myśl o mnie źle, moje dziecko. Powtarzam, że wcale nie jestem waszą nieprzyjaciółką. Uprzedzam cię tylko, że twego ojca podejrzewają o wielką zbrodnię. Zdaje mi się, że za taką przestrożę mam

prawo do pewnej wdzięczności, a tymczasem ty mi okazujesz niechęć.

Wyrzut ten dotknął Ethelę.

— O! przebac mi, szlachetna pani — rzekła — ale dotąd, widzieliśmy tutaj tylko wrogów... Nie ufałam ci, pani, z początku, przyznaję; ty jednak mi przebaczysz to, nieprawda?

Nieznajoma uśmiechnęła się.

— Jakto! moja córko, czy dotąd ani jednego nie znaleźliście przyjaciela?

Twarz Etheli żywym zapłonęła rumieńcem; zahała się przez chwilę.

— O! tak — wyszeptwała nareszcie — Bóg wie całą prawdę. Znaleźliśmy przyjaciela, szlachetna pani... jednego tylko.

— Jednego? — powtórzyła żywo blada kobieta. — Wymień go; nie wiesz nawet, jak tu ważne... To dla ocalenia twego ojca... Któż jest ten przyjaciel?

— Nie wiem — rzekła Ethel.

Nieznajoma zadrżała.

— Ja chcę wam dopomóc, ocalić was, a ty żartujesz sobie ze mnie. Pomyśl tylko, że tu idzie o życie twego ojca. Któż jest, powiedz mi, ten przyjaciel, o którym wspomniałaś?

— Bogiem się świadczę — szlachetna pani, że znam tylko jego imię...

— Wymieńże chociaż to imię?

— Ordener...

Ethel wypowiedziała to z przykrością, jaką uczuwamy, wymawiając wobec kogoś obojętnego imię najdroższe, naujukochańsze.



— Ordener! Ordener! — powtórzyła nieznajoma poruszona, a ręce jej szarpały nerwowo bogaty haft białego jej woalu.

— I utrzymujesz, że nie znasz jego nazwiska? — badała natrętnie, gorączkowo.

— Nie znam — odparła dziewczeczka. — Co mnie może obchodzić jego nazwisko i rodzina? Ordener, pani, jest najszlachetniejszym z ludzi.

Ton głosu zdradził tajemnicę serca Etheli. Twarz nieznajomej przybrała teraz wyraz spokoju. Nie spuszczać badawczego spojrzenia z Etheli, zapytała:

— Czy słyszałaś, moje dziecko, o blizkiem małżeństwie syna vicekróla z córką wielkiego kanclerza, Ahlefelda?

Pytanie to musiała powtórzyć, gdyż myśli Etheli gdzieindziej pobiegły; dopiero przeto na powtórzone pytanie dziewczeczka odpowiedziała:

— Zdaje mi się, że słyszałam.

Jej spokój i obojętność zdziwiły nieznajome.

— Cóż myślisz o tem małżeństwie?

— Cóż mogłabym myśleć? Życzę tej dostojnej parze szczęścia.

— Hrabiowie Guldenlew i Ahlefeld, ojcowie narzeczonych, są przecież zawziętymi wrogami twojego ojca.

Ethel powtórzyła z anielską słodyczą:

— Związek ich dzieci niech, mimo to, będzie szczęśliwy!

— Przychodzi mi myśl pewna — szepnęła podstępnie nieznajoma. — Jeżeli życiu twojego ojca grozi niebezpieczeństwo, to mogłabyś z okazji tego małżeństwa, wyjednać dla niego ulaskawienie przez syna vicekróla...

— Niechaj święci z nieba wynagrodzą cię, szlachetna pani, za twoje dla nas starania! Ale w jaki sposób prośba moja do syna vicekróla dojsćby mogła?

Słowa te wypowiedziane były z taką prawdą, że z ust nieznajomej zerwał się okrzyk zdumienia:

— Jak to? Ty go nie znasz?

— Tego potężnego pana? — podchwyciła Ethel. — Zapominasz, szlachetna pani, że spojrzenie moje nigdy nie wybiegło za mury tej fortecy.

— Ależ doprawdy — szepnęła do siebie blada kobieta — nie rozumiem tego, co mi mówił ten stary szalencie Lewin?... Ona go widocznie nie zna. To jednak niepodobna! — dodała głośno — musiałaś widzieć syna vicekróla, on był tutaj.

— Być może, szlachetna pani, ale ja widziałam tylko mego Ordenera... Nikogo więcej.

— Twego Ordenera! — przerwała nieznajoma.

Poczem, nie zważając na rumieniec Etheli, mówiła gorączkowo:

— A czy znasz, moje dziecko, młodzieńca z twarzą szlachetną, piękną, wysmukłego, z ruchami poważnymi i pewnymi; spojrzenie ma łagodne a zarazem pełne siły, cerę świeżą jak dziewczęcia, włosy ciemne...

— Och! — zawołała Ethel — to on, to mój narzeczony, mój uwielbiany Ordener! Powiedz mi, szlachetna i dobra pani, czy mi przynosisz wiadomość od niego?... Gdzie go widziałaś? Wszak on ci powiedział, że mnie kocha, nieprawdaż? Powiedział pewnie, że posiada całą moją miłość? Niestety! biedna uwięziona nie ma nic oprócz swej miłości... Szlachetny przyjaciel! Niema tygodnia, jak go widziałam tutaj, na tem



samem miejscu, w jego zielonym płaszczu, z czarnem u kapelusza piórem, które z takim wdziękiem spadało na jego piękne czoło...

Ethel nie dokończyła. Nieznajoma bowiem zadrżała, chwyciła ją za ramię i krzyknęła, już nie hamując wściekłości:

— Nieszczęśliwa! kochasz Ordenera Guldenlewa, narzeczonego Ulryki Ahlefeld, syna śmiertelnego nieprzyjaciela twego ojca! Kochasz syna vicekróla Norwegii!

Ethel padła zemdlna.

#### IV.

*Caupolican.* — Idźcie z taką ostrożnością, żeby nawet ziemia nie słyszała waszych kroków... Podwólcie usiłowania, przyjaciele... Jeśli dojdziemy nie będąc słyszani. ręczę za zwycięstwo.

*Tucapel.* — Noc pokryła wszystko zasłoną; straszna ciemność otacza ziemię. Nie słyhać żadnej placówki, ale nie spotkaliśmy szpiegów...

*Ringo.* — Naprzód!

*Tucapel.* — Co słyszę? Czyżby nas odkryto?

*Lopez di Vega.*

— Czy wiesz Guldon Stayper, mój stary kamracie, że wiatr wieczorny zaczyna dyabelnie sierać mojej czapki na twarz mi zdmuchiwać?

Tak przemówił Kennybol do jednego z górali, który podczas bezładnego marszu szedł koło niego.

Ten pokiwał głową i sztandar, który dźwigał, przełożył na drugie ramię, sapnąwszy przytem z utrudzenia.

— Ja myślę, kapitanie — mruknął — że w tych przeklętych wąwozach Czarnego-Słupa, gdzie wiatr wpada z siłą rwącego potoku, nie będzie nam tak ciepło tej nocy, jak płomykowi, tańczącemu nad głównią.



— Trzeba będzie zapalić takie ognie, żeby pobudziły się wszystkie puszczyki na wierzchołkach skał, w swoich pałacach ze zwalisk. Nie cierpię puszczyków; owej strasznej nocy, kiedy widział wieszczkę Ubfem, miała ona postać puszczyka.

— Na Świętego Sylwestra! — przerwał Guldon Stayper, odwracając głowę — anioł wiatru szalenie musi robić skrzydłami! Gdyby mnie chciano słuchać, kapitanie Kennybol, zapalonyby wszystkie jodły na jakiej górze. Zresztą byłby to piękny widok patrzeć na armię, grzejącą się przy płonącym lesie.

— Niech Bóg zachowa, kochany Guldon! a kozy? a sokoły? a bażanty? Piec zwierzyne, to rozumiem, ale jej palić nie należy.

Stary Guldon zaczął się śmiać.

— Kapitanie nasz, jesteś zawsze tym samym Kennybolem, wilkiem na sarny, niedźwiedziem na wilki i bawołem na niedźwiedzie!...

— Czy daleko jeszcze jesteśmy od Czarnego Stupa? — zapytał jakiś głos z pośród strzelców.

— Towarzyszu — odparł Kennybol — wejdziemy do wąwozu, gdy się noc zacznie; za chwilę stanimy u Czterech Krzyży.

Nastąpiło milczenie, podczas którego słychać było tylko odgłos kroków, jęk wiatru i daleki śpiew odziana kowali z nad jeziora Smiasen.

— Przyjacielu Stayper—odezwał się znów Kennybol, przestając gwizdać piosnkę strzelca Kollona — wszak spędziłeś kilka dni w Dronheimie?

— Tak jest, kapitanie. Brat mój rybak, Jerzy Stayper, zachorował, czas więc jakiś zastępowałem go

w jego barce, a żeby biedna rodzina nie umarła z głodu, zanim on umarł z choroby.

— Skoro więc przybywasz z Dronheimu, to powiedz, czy nie miałeś sposobności widzenia tego hrabiego — więźnia... Stumachera... Gleffenhema... no, jak on się tam nazywa? Tego wreszcie człowieka, w imieniu którego powstajemy przeciw opiece królewskiej? Jego to herby zapewne muszą być na tej ognistej chorągwi, którą dźwigasz.

— Dyabelnie ciężka! — sapnął Guldon.—Mówisz, jak sądzę, o uwięzionym w munckholmskiej fortecy, o hrabi... mniejsza o nazwisko. Jakże chcesz dzielnym nasz kapitanie, żebym go widział? Musiałbym chyba—dodał głos zniżając — mieć oczy tego szatana, co idzie przed nami, nie zostawiając jednak za sobą odoru siarki: tego Hana z Islandyi, który widzi przez mury; albo też pierścień wieszczki Maab, co to umie przechodzić przez dziurkę od klucza. Pomiędzy nami, jestem tego pewny, jeden jest tylko człowiek, który widział hrabiego... to jest owego więźnia, o którym mówiłeś.

— Jeden?... A! to pan Hacket! Ale Hacketa niema między nami. Opuścił nas tej nocy, aby wrócić do...

— Ja nie o panu Hacket chcę mówić, kapitanie.

— O kim więc?

— Oto o tym — rzekł Guldon, zbliżając się do Kennybola — który zna tak dobrze hrabiego... owego sławnego hrabiego, jak ja znam ciebie, kapitanie Kennybol.

Kennybol spojrział na Guldona, mrugnął lewem



okiem i uderzył go po ramieniu z tryumfującym wykrzykiem, jaki miłość własna wydobywa z każdej pierśi, kiedy jesteśmy zadowoleni z naszej przenikliwości:

— Byłem tego pewny!

— Tak jest, kapitanie—ciągnął dalej Guldon Stayper, przekładając znów na drugie ramię swój sztandar ognisty — ręczę, że młody człowiek w zielonym płaszczu widział hrabiego... nie wiem jak go tam nazywasz, no, ale tego, za którego się bić mamy... A widział go w samym zamku munckholmskim. Dostał się do owego więzienia z taką łatwością, jak ja, lub ty, wślizgujemy się do królewskiego parku.

— A skąd ty wiesz o tem, bracie Guldon?

Stary góral chwycił Kennybola za ramię i odchylając swój kaftan z wilezej skóry, szepnął:

— Patrz!

— Na mego Najświętszego Patrona! — mruknął Kennybol — toć to błyszczy, jak dyament!

Jakoż istotnie prosty pas Gulдона Staypera spinała kosztowna klamra dyamentowa.

— A tak jest prawda, że to dyament — mówił Stayper, opuszczając połą swego kaftana — jak prawdą jest, że księżyc znajduje się o dwa dni drogi od ziemi i że pas mój zrobiony jest ze skóry bawołu.

Twarz Kennybola zachmurzyła się i zamiast zdziwienia, wystąpiła na nią surowość; po chwili, patrząc w ziemię, odezwał się z powagą:

— Guldonie Stayper ze wsi Chol-Soe, z gór Kole! Ojciec twój, Medprath Stayper, umarł przeżywszy sto lat, nie mając sobie do wyrzucenia, boć przecie nie jest przeniewierstwem zabicie, przez pomyłkę, da-

niela albo łosia królewskiego. Guldonie Stayper! Na twej siwej głowie dźwigasz pięćdziesiąt siedm lat, a wiek ten jest młodością chyba dla sowy. Guldonie Stayper, towarzyszu nasz! Wolałbym dla ciebie, żeby te dyamenty były ziarnkami prosa, jeśliś ich nie dostał sprawiedliwie tak, jak bażant królewski sprawiedliwie dostaje ołowianą kulę z muszkietu.

W głosie przywódcy górali brzmiała zarazem groźba i namaszczenie.

— Jak nasz kapitan Kennybol jest najsmielszym strzelcem z Kole — odparł Guldon bez najmniejszego uniesienia — a te dyamenty są dyamentami, tak samo prawdą jest, że je posiadam słusznie i sprawiedliwie.

— Czyż być może? — zapytał Kennybol tonem, który zdradzał walkę niedowierzania z ufnością.

— Pan Bóg i mój Święty Patron wiedzą najlepiej — odparł Guldon — że było to owego wieczoru, kiedy wskazałem Spladgest w Drontheim dzieciom naszej dobrej matki Norwegii, niosącym ciało oficera, znalezione na płaszczyznach Urchtalu. Będzie temu około ośmiu dni. Jakiś młodzieniec zbliżył się do mojej barki: — Do Munckholmu! — rzekł do mnie. Nie miałem chęci go słuchać, kapitanie, ptak bowiem niechętnie lata w pobliżu klatki. Ponieważ jednak ów młody pan miał postawę wyniosłą i szlachetną, a za nim szedł koniuszy, prowadzący dwa konie; ponieważ nadto wskoczył już do mej barki z miną rozkazującą: przeto ująłem za moje wiosło, to jest za wiosło mego brata. Stało się to widać z woli mego anioła stróża. Przybywszy do twierdzy, młody pan pomówił z sierżantem, który musiał być dowódcą fortu, a potem rzucił



mi jako zapłatę—Bóg świadkiem, kapitanie, że to prawda—tę oto spinkę dyamentową, którą ci pokazałem i która należałaby do mego brata Jerzego, a nie do mnie, gdyby w chwili, kiedy młody pan, niech go Bóg wspiera — wsiadł do mej barki, całodzienna praca, jaką spełniałem za Jerzego, nie była się skończyła. Wszystko to szczerza prawda, kapitanie Kennybol.

— To dobrze.

I zwolna twarz dowódcy górali wypogodziła się o tyle, o ile na to pozwalał jej zwykły wyraz ponury i ostry. Po chwili łagodniejszym już głosem zapytał Guldona:

— Czy jesteś pewny, stary kolego, że ów młody człowiek to ten sam, co idzie za nami z ludźmi Norbitha?

— Najzupełniej. Pośród tysiąca poznałbym twarz człowieka, który mi los zapewnił. Zresztą jest w tym samym płaszczu, ma to samo czarne pióro...

— Wierzę ci, Guldonie.

— Nie ulega przytem wątpliwości, że płynął do Munkholmu, aby się zobaczyć z więźniem; gdyby w tem nie było jakiejś tajemnicy, nie wynagradzałby tak przewoźnika, który go tam przywiózł. A zresztą, skoro jest z nami....

— Masz słusność.

— Ja myślę, kapitanie, że młody pan ma pewnie więcej wpływu u hrabiego, którego mamy uwolnić, aniżeli pan Hacket, bo ten, na mą duszę, zdolny jest tylko do miauczenia, jak kot dziki.

Kennybol kiwnął znacząco głową.

— Kolego, mówisz to, co i ja chciałem powiedzieć. W całej tej sprawie wolałbym być posłusznym temu młodemu nieznajomemu, aniżeli wybrańcowi Hacketa. Dowództwo tego szatana islandzkiego, według mnie, kolego Guldon, mniej pewnie zawdzięczamy gadatliwemu, jak kruk, Hacketowi, aniżeli temu nieznajomemu.

— Jak to, kapitanie? — zapytał Guldon.

Kennybol otwierał już usta, aby odpowiedzieć, kiedy go uderzono po ramieniu.

Był to Norbith.

— Kennybolu, jesteście zdradzeni! — zawołał. — Gormon Woestroem przybył z południa. Cały pułk muszkietarów idzie na nas. Ułani szlezwicy stoją w Sparbo; trzy kompanie dragonów duńskich czeka we wsi Loevig na konie. Przez całą drogę Gormon widział tyle zielonych mundurów, co i krzaków... Spieszmy jak najprędzej do Skongen bez odpoczynku... Tam przynajmniej będziemy się mogli bronić. Gormonowi zdaje się też, że w wąwozach Czarnego Słupa, widział między krzakami świecące muszkiety.

Młody wódz był błydy i wzruszony, ale jego spojrzenia i głos wyrażały odwagę i niezłomność.

— Niepodobna! — zawołał Kennybol.

— A jednak tak jest! — odparł Norbith.

— No, a pan Hacket?

— To zdrajca, albo tchórz. Wierzej w to, co mówię, towarzyszu Kennybol. Bo gdzież on jest ten Hacket?...

W tej chwili do dwóch wodzów zbliżył się stary Jonasz. Z ponurego zniechęcenia, jakie malowało się



na jego twarzy, łatwo było poznać, że wie o fatalnej nowinie.

Spojrzenia obu starców, Jonasza i Kennybola, spotkały się i obaj zaczęli kiwać głowami, jakby zgadzając się wzajemnie.

— No i cóż Jonaszu? I cóż Kennybolu?—zapytał popędliwie Norbith.

Stary wódz górników z Faroer przesunął z wolna ręką po czole, zmarszczkami pokrytem i odparł z cicha dowódcy górali z Kole na jego znaczące spojrzenie:

— Tak, to prawda, na nieszczęście, to zupełna prawda. Przecie Gormon Woestroem widział ich wszystkich.

— Kiedy więc tak się rzeczy mają — rzekł Kennybol — cóż wypada czynić?

— Co czynić? — powtórzył Norbith.

— Ja myślę, Kennybolu, że najlepiej będzie zatrzymać się.

— A jeszcze lepiej, bracie Jonaszu, zupełnie się cofnąć.

— Zatrzymać się? cofnąć? — zawołał Norbith. — Trzeba iść naprzód!

Obaj starcy zwrócili na niego spojrzenia zimne i zdziwione.

— Iść naprzód? — powtórzył Kennybol. — A muszkietery munckholmscy?

— A ułani szlezwicy? — podchwycił Jonasz.

— A dragoni duńscy? — dodał Kennybol.

Norbith tupnął nogą.

— A opieka królewska? — zawołał — a moja matka, umierająca z głodu i zimna?

— Przekleństwo! opieka królewska... — mruknął górnik Jonasz, zatrzęsłszy się cały.

— Cóż mnie ona obchodzi? — odpowiedział góral Kennybol.

Jonasz wziął Kennybola za rękę.

— Kolego nasz — rzekł — ty, jako myśliwy, nie masz honoru być pupilem naszego monarchy, Chrystyana IV. Oby nas święty król Olaüs, co już jest w niebie, uwolnił od tej opieki!

— Przy pomocy szabli zdobędziemy to dobrodziejstwo! — rzekł dziko Norbith.

— Śmiałe słowa — rzekł Kennybol — łatwe są u młodego człowieka, kolego Norbith, ale pomyśl, że jeśli pójdziemy dalej, to wszystkie zielone mundury...

— Myślę, że napróżno uciekniemy w góry, jak lisy przed wilkami, boć przecie muszą znać nasze nazwiska i wiedzieć o naszym buncie; a czy tak lub owak umierać, to wolę zginąć od kuli muszkietu, aniżeli na stryczku szubienicy.

Jonasz kiwnął głową na znak przytwierdzenia.

— Do dyabła — rzekł! — opieka dla naszych braci, szubienica dla nas! Norbith może ma słusność.

— Podaj mi rękę, mój dzielny Norbith — odezwał się Kennybol — niebezpieczeństwo grozi z obu stron. Lepiej iść prosto do przepaści, niż wpaść do niej tyłem.

— Idźmy więc! — zawołał stary Jonasz, uderzając po rękojęści swej szabli.

Norbith uściskał ich żywo za rękę.



— Słuchajcie, bracia! — rzekł. — Bądźcie, jak ja, odważni, a ja stanę się przezornym jak wy. Nie zatrzymamy się dzisiaj aż dopiero w Skongen: tam garnizon jest słaby, zgniemy go łatwo. Przejdźmy, skoro tego potrzeba, przez wąwozy Czarnego Słupa, ale przejdźmy w zupełnej cichości. Musimy je przebyć, choćby były strzeżone przez nieprzyjaciela.

— Sądzę, że muszkietrzy nie doszli jeszcze do mostu Ordals, pod Skongen... Zresztą mniejsza o to. Tylko cicho!

— Cicho! — powtórzył Kennybol.

— Teraz, Jonaszu — mówił dalej Norbith — wróćmy obydwa na nasze stanowiska. Jutro może będziemy w Drontheim, mimo muszkietarów, ułanów, dragonów i wszystkich zielonych mundurów.

Trzej wodzowie rozstali się.

Wkrótce potem rozkaz; „cicho!“ — rozszedł się po szeregach i cała gromada powstańców, przed chwilą tak hałaśliwa, teraz na tle miejsc odludnych, przez które przechodziła, a które noc pokrywała już mrokiem, zdawała się być gromadą widm, snujących się w głębokim milczeniu po krętych ścieżkach ementarza.

Droga, po której dążyli, wciąż się zwązala i coraz bardziej zagłębiała się pomiędzy dwa szeregi skał niezmiernie stromych. W chwili, kiedy czerwona księżyc wypłynął z po za chmur, zmieniających ustawicznie swe fantastyczne formy, Kennybol nachylił się do Gulдона Staypera i szepnął:

— Wehodzimy do przesmyka Czarnego Słupa. Cicho!

W samej rzeczy, słychać było groźny szum potoku.

który płynął między dwiema górami tuż koło drogi, a w południowej stronie można było spostrzedz olbrzymią piramidę z granitu, nazwaną *Czarnym Słupem*, która rysowała się na szarem niebie i na śniegu sąsiednich gór. Widnokrąg z zachodniej strony, przesłonięty mgłą, kończył las Sparbo i długi szereg skał, piętrzących się jakby stopnie olbrzymów.

Powstańcy, zmuszeni wyciągnąć swoje kolumny na krętej i ściśniętej górami drodze, postępowali wciąż naprzód. Weszli w głęboki wąwóz, nie zapaliwszy pochodni, w najgłębszej ciszy. Nie słychać było nawet odgłosu ich kroków, tłumił go bowiem ogłuszający szum wodospadów i świst gwałtownego wiatru, który wstrząsał odwiecznym lasem i otaczał tumanami śnieżycy wierzchołki gór, pokryte lodem. Światło księżyca, od czasu do czasu zasłaniane chmurą, rozpraszało się w głębokościach wąwozu, nie dochodząc do łan powstańców; białe orły, przelatujące niekiedy nad ich głowami, nie spostrzegały nawet, że taki tłum ludzi naruszał w tej chwili ich samotność.

Pośród ogólnego milczenia, stary Guldon trącił w ramię Kennybola kolbą swego karabina.

— Kapitanie — rzekł — widzę coś błyszczącego po za tym gąszczem ostrokrzewów i janowców.

— I ja to widzę — odpowiedział wódz górali — musi to być woda potoku, w której odbijają się chmury.

Postępowali dalej. Za chwilę Guldon znów chwycił swego wodza za rękę.

— Patrz — szepnął — czy to nie muszkiety błyszczą w cieniu tej skały?



Kennybol kiwnął głową, a po chwili zastanowienia odparł:

— Uspokój się, bracie Guldon, To promień księżyca odbija się od bryły lodu.

Wokoło panowała cisza i oddziały powstańców, rozrzucone po wszystkich zakrętach wąwozu, zapomniwały niebawem, w jak niebezpiecznym znajdują się miejscu.

Po dwóch godzinach marszu, nader przykrego, bo przez pnie drzew i odłamy granitu, któremi droga była zawalona, przednia straż doszła do lasu jodeł, porastającego ściany wylotu groźnego Czarnego Słupa; po nad nim wisiały skały czarne i mchem pokryte.

Guldon Stayper zbliżył się do Kennybola i wyraził mu zadowolenie, że już wkrótce wyjdą z tej ponurej jaskini; dodał oraz, iż wypadło złożyć dzięki Świętemu Sylwestrowi za to, że Czarny Słup nie stał się miejscem ich zguby.

Kennybol zaczął się śmiać zapewniając, że nie czuł wcale obawy; wyrzucił nawet staremu przyjacielowi „babskie tchórzostwo“. Dla wielu bowiem ludzi niebezpieczeństwo minione nie jest niebezpieczeństwem; starają się oni nawet okazać odwagę, którejby przed chwilą jeszcze czynem nie stwierdzili.

Kennybol śmiał się jeszcze, gdy nagle uwagę jego zwróciły dwa okrągłe światełka, podobne do dwóch rozżarzonych węgli; ukazały się one wśród gęstwy jodłowego lasu.

— Na zbawienie duszy — rzekł z cicha, wstrząsając ramieniem Guldona — to muszą być oczy najpiękniejszego żbika, jaki kiedykolwiek myszkował w tej gęstwinie.

— Masz słuszość — odparł Stayper — ale gdyby nie to, że ten szatan z Islandyi idzie przed nami, gotów byłbym pomyśleć, że to się błyszcza jego oczy...

— Cicho! — przerwał Kennybol, chwytając za karabin. — Nikt nie powie, że taka piękna sztuka uszła bezkarnie z przed oczu Kennybola.

I zanim Guldon Stayper zdołał powstrzymać nieroztropnego strzelca, rozległ się wystrzał... Ale na donośny huk karabina nie odpowiedziało żalosne miauczenie dzikiego kota, lecz straszliwy ryk jakby tygrysa, po którym nastąpił jeszcze straszliwszy wybuch dzikiego śmiechu.

Echo nie zdążyło powtórzyć odgłosu karabina; zaledwie bowiem błysnęło światełko wystrzału, zaledwie fatalny huk prochu wstrząsnął powietrze, tysiące głosów odezwało się nagle na górach, w wąwozach i w lasach, zlewając się w jeden okrzyk:

— Niech żyje król!

Okrzyk ten, potężny jak grzmot, zabrzmiał nad powstańców głowami, obok nich, przed i za nimi, a błyskawice morderczego ognia z muszkietów zajaśniały ze wszystkich stron. Rażąc niebaczných, oświecały zarazem przestrzeń i pozwalały dojrzeć za każdą skałą batalion, za każdym drzewem żołnierza...



V

Do broni! do broni! wodzowie!

E. H.

Musimy się cofnąć o dzień i przenieść do Skongen, dokąd, podczas gdy powstańcy wychodzili z kopalni ołowiu Apsyl-Corh, przybył pułk muszkietarów, który już widzieliśmy w marszu.

Po wydaniu rozkazów co do rozmieszczenia żołnierzy, baron Voethaun, pułkownik muszkietarów, miał już przestąpić próg przeznaczonego mu na kwatery domu w pobliżu bramy miejskiej, kiedy nagle ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu. Odwrócił się zdziwiony.

Przed nim stał człowiek niskiego wzrostu, z twarzą zasłoniętą szerokimi skrzydłami kapelusza tak, że zaledwie można było dostrzedz jego kędzierzawą i rudą brodę. Był on starannie otulony szarym płaszczem, który, sądząc z resztek kaptura, jakie na nim wisiały, był zapewne habitem pustelnika. Z pod płaszcza wyglądały tylko jego ręce w wielkich rękawicach.

— Czego chcesz, u diabła, mój zuchu? — zapytał opryskliwie pułkownik.

— Pułkowniku muszkietarów munckholmskich — przemówił nieznajomy nagląco — pójdź za mną na chwilę, mam ci dać ważną radę.

Baron wysłuchał dziwnego wezwania nie bez zdziwienia, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Bardzo ważną radę, pułkowniku — powtórzył człowiek w wielkich rękawicach.

Natarczywość ta zdecydowała barona Voethauna. W czasie niespokojnym i ze względu na zadanie, jakie miał spełnić, nie mógł lekceważyć żadnej wskazówki.

— Chodźmy więc! — rzekł.

Mały człowiek szedł przed nim, a gdy się znaleźli za miastem, zatrzymał się.

— Pułkowniku — zapytał — czy chcesz za jednym zamachem wytepić wszystkich buntowników?

Pułkownik zaczął się śmiać.

— Byłby to wcale niezły początek kampanii — odpowiedział wesoło.

— Każ zatem urządzić zasadzkę żołnierzom twoim w wąwozach Czarnego Słupa. Bandy rokoszan będą tam obozowały tej nocy. Po pierwszym wystrzale, rzuć się na nich ze swoimi ludźmi. Zwycięstwo będzie łatwe.

— Rada bardzo dobra, mój zuchu i dziękuję ci za nią. A skądże wiesz o tem, co mówisz?

— Gdybyś mnie znał, pułkowniku, zapytałbyś wtedy, czy mógłbym o tem nie wiedzieć.

— Któż ty jesteś?

Mały człowiek tupnął nogą gniewnie.

— Nie przyszedłem tutaj, aby ci się przedstawić! — zawołał.

— Nie lękaj się niczego. Ktokolwiek jesteś, usłu-



ga, jaką nam oddajesz, będzie dla ciebie obroną. A możeś sam należał do buntowników?...

— Nie chciałem łączyć się z nimi.

— Po cóż więc ukrywasz swoje imię, skoro jesteś wiernym poddanym króla?

— Co cię to obchodzi?

Pułkownik chciał zaczerpnąć więcej jeszcze objaśnień od tego szczególnego doradcy.

— Powiedz mi — rzekł — czy to prawda, że tymi rozbójnikami dowodzi głośny Han z Islandyi?

— Han z Islandyi? — powtórzył mały człowiek dziwnie głos zmieniając.

Baron wypytywał w dalszym ciągu, lecz nieznamy odpowiadał mu tylko śmiechem, do ryku potwornego podobnym. Na zapytanie, co do siły i przywódców górników, otrzymał szorstką, niemal brutalną odpowiedź:

— Pułkowniku muszkietarów manckholmskich, oznajmiłem ci wszystko, co oznajmić miałem. Powtarzam: urządz dziś w wąwozie Czarnej Słupa zasadzkę, a wytępisz wszystkich buntowników.

— Nie chcesz wymienić swego nazwiska, pozbawiasz się przeto wdzięczności królewskiej; słusznem jest jednak, żeby baron Voethaun wynagrodził ci usługę, jaką mu oddajesz.

Mówiąc to, pułkownik rzucił swoją sakiewkę przed nogi małego człowieka.

— Pułkowniku — rzekł nieznamy — schowaj swoje złoto. Ja go nie potrzebuję.

A pokazując worek, zawieszony u swego pasa, mówił dalej:

— Gdyby trzeba było nagrody za zabicie tych ludzi, w takim razie oto złoto, pułkownikowi, któreby ci dał jako zapłatę za ich krew.

Zanim pułkownik ochłonął ze zdumienia, w jakie go wprowadziły zagadkowe słowa tajemniczej istoty, nieznamy zniknął.

Baron Voethaun udał się z powrotem do miasta, zapytując sam siebie, czy można było wierzyć nieznamemu? W chwili, kiedy wchodził do domu, wręczono mu list, opatrzony pieczęcią wielkiego kanclerza. Było to istotnie polecenie hrabiego Ahlefelda, w którym pułkownik, ze zdziwieniem łatwym do pojęcia, znalazł tę samą radę, jakiej mu udzielił u bram miasta tajemniczy człowiek w wielkich rękawicach.



## VI

Sto sztandarów unosiło się po nad głowami walczących, zewsząd płynęły krwi potoki, a śmierć zdawała się być znośniejszą od ucieczki. Każdy z bardów saksońskich noc tę straszliwą nazwałby uroczystością mieczy; zgiełk bitwy, jakby wrzask orłów, rzucających się na swoje ofiary, milej głaskałby jego ucho, aniżeli ochoczy śpiew weselnej uczt.

*Walter Scott* „Ywanhoe“.

Nie będziemy opisywali straszliwego popłochu, jaki opanował szeregi powstańców, kiedy znajdując się w fatalnym wąwozie, ujrzeli nagle wszystkie wzgórza, wszystkie pieczary obsadzone przez niespodziewanego wroga. Trudno było odgadnąć, czy przeciągły krzyk, z tysiąca powstały głosów, co rozległ się w szeregach tak niespodziewanie napadniętych, był krzykiem rozpacz, przestraszu, czy też wściekłości... Piekielny ogień, który na nich sypały odsłonięte plutony armii królewskiej, wzrastał coraz bardziej. Zanim z ich strony padł choć jeden wystrzał, oprócz nieszczęśliwego strzału Kennybola, już widzieli wkoło siebie tylko gęstą chmurę dymu, przez którą na ślepo dolatywały pociski śmierci.

Każdy z nich, jakby osamotniony, poznawał tylko siebie, a w oddaleniu rozróżniał zaledwie muszkieterów, dragonów i ułanów, którzy chwilowo zjawiali się na skałach i na ścieżce w gęstwinie, jakby szatani wśród swych płomieni.

Bandy powstańców, wyciągnięte na długość może mili na drodze wąskiej i krętej, stykającej się z jednej strony z potokiem, a drugiej ze ścianami skał, co im się skupić nie pozwalało, podobne były do węża, którego przecinają uderzając po grzbiecie, skoro tylko rozwinął swoje pierścienie, a którego rozcięte i żywe części, tarzając się długo w swej posoce, starają się jeszcze połączyć.

Kiedy pierwsze minęło przerażenie, rozpacz porwała wszystkich tych ludzi z natury dzikich i nieustraszonych. Rozwścieczony tem, że go mordują bez litości, cały tłum rokoszan wydał okrzyk jakby z jednych piersi, okrzyk, który przez chwilę zagłuszył zwycięskie wrzaski nieprzyjaciela. A kiedy żołnierze ujrzeli tych ludzi bez dowódców, w nieładzie, prawie bez broni, wdrapujących się pod straszliwym ogniem na strome skały, czepiających się rękoma i zębami krzaków, rosnących nad przepaścią, wstrząsających młotami i żelaznemi widły — wtedy żołnierze ci, tak dobrze uzbrojeni, skupieni w szeregach, na bezpiecznych stanowiskach, choć jeszcze nie stracili ani jednego ze swoich, nie mogli się oprzeć mimowolnej obawie.

Wielu z tych napół dzikich ludzi zdołało po gromadach trupów, albo po ramionach swoich towarzyszy, czepiających się skał i tworzących jakby żywe



drabiny, dojść aż do wierchołków, na których stali oblegający, ale zaledwie zawołali: — Wolność! — zaledwie podnieśli swoje topory albo kręte maczugi, zaledwie pokazali im swe twarze, czarne i wykrzywione wściekłością, już, zepchnięci, staczali się do przepaści, pociągając za sobą towarzyszków, których w swoim upadku napotykali zawieszonych u krzaka, albo trzymających się występów skały.

Nieszczęśliwi nie mogli bronić się ani uciekać; wszystkie wyjścia z wąwozu były zamknięte; wszelkie dostępne miejsca na zboczach skał zajmowali żołnierze. Znaczna część pokonanych umierała na wazkiej drodze, skruszywszy wpierw o łomy granitu swoje obosieczne noże albo kordelasy; niektórzy znów, założywszy ręce, z okiem w ziemię utkwionem, siadali na kamieniach u skraju drogi i tam, milczący, nieruchomi, oczekiwali na kulę, któraby ich zrzuciła do potoku. Ci, których Hacket w swej przezorności uzbroił w nędzne muszkiety, strzelali na traf ku wzgórzom i otworom jaskiń, skąd nieustannie padał na nich istny grad kul. Ze straszliwą wrzawą, wśród której można było rozróżnić wściekle krzyki przywódców rokoszan i spokojne rozkazy oficerów, łączyła się owa piekielna kanonada. Po nad miejscem, gdzie się ta rzeź okropna odbywała, unosił się jakby krwawy tuman, odbijając na górach fantastyczne zarysy. Spieniony potok rozdzielał nieprzyjacielskie oddziały, unosząc na swych falach liczne ofiary.

W pierwszych zaraz chwilach walki najwięcej ucierpieli górale, dowodzeni przez dzielnego ale nieroztropnego Kennybola. Tworzyli oni, jak wiemy,

przednią straż powstanców i byli już w sosnowym lesie, który się zaczynał przy końcu wąwozu. Zaledwie nieszczęsny Kennybol wystrzelił z muszkietu, kiedy las zaroił się niespodzianie, jakby na skinienie laski magicznej, mnóstwem tyralierów nieprzyjacielskich, którzy otoczyli jego oddział ogniem kołem; a jednocześnie z wysokiej płaszczyzny, po nad którą wznosiły się pochylone skały, batalion munckholmskiego pułku, w trójkąt sformowany, dziesiątkował go bezustannie swemi strzałami. W tej okropnej chwili, Kennybol, straciwszy głowę, spoglądał na tajemniczego olbrzyma, spodziewając się ocalenia tylko od nadludzkiej mocy mniemanego Hana z Islandyi. Ale oczekiwany szatań nie rozwijał olbrzymich skrzydeł i nie unosił się po nad walczącymi, ziejąc ogniem i piorunami na muszkietów; nie wyrastał w jednej chwili aż do chmur, na oblegających nie przewracał całej góry, ani też jednym uderzeniem nogi nie otwierał przepaści pod batalionem, stojącym w zasadzce.

Groźny Han z Islandyi, po pierwszych strzałach, razem z nim się cofnął, przybiegł do niego zmieszany żądając karabina, ponieważ, jak mówił, i to głosem zwyczajnym, jego topór w podobnej chwili był mu równie nieużytecznym, jak wrzeczono starej baby.

Kennybol, zdziwiony ale wierzący jeszcze, swój własny muszkiet oddał olbrzymowi z takim strachem, że zapomniał prawie o kulach, które jak grad padały koło niego. Ciągłe oczekując czegoś nadzwyczajnego, spodziewał się, że jego broń stanie się w rękach Hana wielką, jak armata, albo też zamieni się w skrzydlatego smoka, który będzie zionął ogień ślepiami, paszczą



i nozdrzami. Nie podobnego wszakże się nie stało. Kiedy zaś ujrzał, że szatan nabija broń zupełnie zwyczajnie, to jest prochem i ołowiem, że również zwyczajnie, jak wszyscy śmiertelnicy, strzela, zadziwienie Kennybola przeszło wszelkie granice. Patrzył przez chwilę na olbrzyma w ponurem osłupieniu, a przekonawszy się nareszcie, że nie doczeka się cudu, zaczął myśleć o wydobyciu siebie i swych towarzyszków z nieszcześliwego, położenia, w którym się znajdowali, jakim bądź ludzkim sposobem.

Stary Guldon Stayper padł u jego nóg okryty ranami; górale strwożeni, daremnie usiłujący uciekać, otoczeni ze wszystkich stron, cisnęli się jeden do drugiego, nie myśląc nawet o obronie i rozpaczliwe wydając okrzyki... Kennybol zrozumiał, że tłum stłoczony narażony był na pewną zgubę, gdyż każdy strzał nieprzyjaciela musiał znaleźć ofiarę. Rozkazał więc nieszcześliwym rozbiedz się, rzucić w las, do którego dotykała droga, w tem miejscu szersza niż w wąwozie Czarnego Słupa, a ukrywając się w krzakach, odpowiadać o ile można na coraz bardziej morderczą kaponadę tyralierów i batalionu. Górale, w znacznej części dobrze uzbrojeni, ponieważ wszyscy byli myśliwymi, wykonali rozkaz swego dowódcy z uległością, której zapewne nie okazaliby w chwili mniej krytycznej; wobec bowiem niebezpieczeństwa, ludzie wogóle tracą głowę i chętnie słuchają tego, kto podejmuje się mieć za nich zimną krew i przytomność umysłu.

Rozsądny ten środek nie mógł jednak dać im zwycięstwa a nawet ocalenia. Więcej już było górali niezdatnych do walki niż stojących na nogach; pomimo

przykładu i zachęty ze strony ich dowódcy i olbrzyma, wielu z nich, opierając się na bezużytecznych muszkietach, albo padając obok rannych, stanowczo chciało ponieść śmierć, zrezygnawszy z obrony. Dziwnem się wyda zapewne, że ludzie ci, przyzwyczajeni narażać się codziennie na śmierć w pościgach po lodowych cyplach za zwierzyną, mogli odrazu stracić odwagę; da się to jednak łatwo wytłumaczyć. U ludzi bowiem prostych odwaga bywa względna niejako: śmieją się wobec kartaczy, a drżą w ciemności; bez najmniejszej obawy potykają się z dzikiem zwierzem, jednym skokiem przesadzają przepaści, a uciekają przed strzałami armatniami. Zdarza się często, że odwaga jest tylko przyzwyczajeniem, a obojętność na śmierć tego lub owego rodzaju nie dowodzi jeszcze, że się jej nie lękamy.

Kennybol, otoczony stosami umierających towarzyszków, sam już zaczął tracić głowę, chociaż otrzymał lekką tylko ranę w ramię. Obejrząwszy się spostrzegł, że olbrzym, mniemany szatan, wciąż strzela z jego muszkietu najzwyczajniej w świecie, nie uciekając się do sposobów nadnaturalnych. Nagle zauważył w stojącym na wzgórzu batalionie dziwne zamieszanie, którego z pewnością nie mógł wywołać słaby ogień, przez górali utrzymywany. Do jego uszu doszły krzyki rozpacz, jęki umierających i trwożne nawoływania. Wydawał go oddział zwycięzców. Po chwili strzały ustały, a gdy dym się rozszedł, ujrzał wyraźnie, że olbrzymie złomy granitu spadały na muszkietów munkholmskich z wierzchołka skały, która się wznosiła nad płaszczyznę przez nich zajętą. Łomy owe spadały jeden za drugim z błyska-



wieczną szybkością; słychać było, jak się wzajem rozbijały i toczyły na żołnierzy, a ci, opuszczając szeregi, zbiegali z góry w nieładzie i rozpraszali się na wszystkie strony.

Zdumiony niespodzianą pomocą, Kennybol odwrócił głowę: olbrzym był przy nim. Zastanowiło go to. Sądził bowiem, że to Han z Islandyi pokazał nareszcie, co może. Spojrzał na wierzchołek góry, skąd spadały straszliwe bryły, ale i tam nie zobaczył. Nie mógł przypuszczać, że część powstańców dostała się na to stanowisko; zresztą nie widać tam było ani błyszczącej broni, ani też słychać okrzyków zwycięstwa.

Tymczasem ogień żołnierzy zupełnie ustał: szczątki batalionu ukryły się w gęstwie leśnej i tam się zapewne formowały. Strzały tyralierów również ucichły. Kennybol nieomieszkał wyzyskać pomyślnej chwili. Wskazując towarzyszący stopy trupów żołnierzy, leżące na płaszczyźnie między łomami granitu, które od czasu spadały jeszcze, wzbudził w nich odwagę. Jakoż górale, z okrzykami radości, sformowawszy się w kolumnę, acz niepokojeni jeszcze przez tyralierów, rozrzuconych po krzakach, postanowili wydobyć się przebojem z fatalnego wąwozu.

Oddział ich miał już wyruszyć, powtarzając z otuchą hasło: — Wolność! Wolność! Precz z opieką królewską! — już nawet Kennybol dał znak na swoim rogu, kiedy nagle zabrzmiały trąbki i bębny, dając sygnały do ataku, a po chwili reszta batalionu z płaszczyzny, wzmocniona przez oddział świeżych żołnierzy, ukazała się o strzał karabinowy na zakręcie drogi, najeżona niejako pikami i bagnetami, w ścieśnionych

szeregach, których ilości oko nie mogło objąć. Zbliżywszy się do oddziału Kennybola, batalion zatrzymał się, a dowodzący nim postąpił ku góralom z białą chorągiewką w rękę, w towarzystwie trębacza.

Nagle pojawienie się wojska nie zmieszało Kennybola. W położeniach krytycznych są chwile, kiedy trwoga już się nie zjawia. Na pierwsze odgłosy trąbki i bębna, stary lis z Kole zatrzymał swoich towarzyszy. Gdy batalion rozwijał się powoli, Kennybol kazał swoim nabić karabiny i ustawił ich dwójkami, aby w ten sposób najmniej byli wystawieni na strzały nieprzyjaciela. Sam stanął na czele obok olbrzyma, z którym w czasie walki już się nieco oswoił zauważwszy, że jego oczy nie błyszczały jak rozpalone węgle w kuźni i że ręce jego nie posiadały, jak opowiadano, szponów kroguleczych, lecz były zaopatrzone w najzwyczajniejsze paznogie.

Kiedy ujrzał dowódcę muszkietarów, zbliżającego się jak gdyby z zamiarem złożenia broni i widząc, że strzały tyralierów zupełnie ustały, chociaż zwoltywanie się ich słychać było ze wszystkich stron, co świadczyło o ich obecności w lesie, wstrzymał na chwilę przygotowania do obrony.

Tymczasem oficer z białą chorągwią doszedł do środka przestrzeni, rozdzielającej obie kolumny, tam zatrzymał się, a towarzyszący mu trębacz trzykrotnie zatrąbił. Następnie oficer zawołał silnym głosem:

— W imieniu króla! Łaski królewskiej dostąpią ci wszyscy buntownicy, którzy złożą broń i wydadzą swoich dowódców.

Zaledwie parlamentarz wymówił te słowa, kiedy



z sąsiedniej gęstwiny wybiegł strzał. Oficer zachwiał się i upadł wołając:

— Zdrada!

Nikt nie wiedział, z czyjej ręki padł ten cios śmiertelny.

— Zdrada! — powtórzył batalion muszkietarów z wściekłością i straszliwa salwa z karabinów zdzięsiatkowała górali.

— Zdrada! — zawołali z kolei górale, również rozwścieczeni widokiem padających obok nich braci i również rozpoczęli ogień morderczy.

— Naprzód wiara! Śmierć buntownikom! — kอมenderowali oficerowie muszkietarów.

— Śmierć! śmierć! — powtarzali górale.

Obie strony rzuciły się na siebie zajadle i spotkały się przy trupie nieszczęśliwego oficera.

Szeregi zmieszały się. Dowódcy powstańców, oficerowie królewscy, żołnierze, górale uderzali na siebie bezładnie, chwyтали się, obejmowali, szarpali, jak dwa stada zgłodniałych tygrysów. Długie piki, bagnety, halabardy były już bezużyteczne: szable tylko i topory błyszczały nad głowami, a wielu potykających się nie mogło użyć innej broni prócz sztyletu albo zębów.

Równa wściekłość, jednakie oburzenie, ożywiały górali i muszkietarów; ten sam okrzyk: — Zdrada! zemsta! — na wszystkich był ustach. Zamieszanie doszło do tego natężenia, kiedy okrucieństwo wstępuje we wszystkie serca, kiedy przekłada się nad swoje życie śmierć nieprzyjaciela, kiedy się z obojętnością depce po stosach ranionych i zabitych, z pomiędzy

których konający budzi się jeszcze, aby uchwycić zębami tego, który go nogami tratuje.

W owej chwili jakiś mały człowiek, którego wielu z walczących, patrząc przez dym i wyziewy z krwi, wzięło z początku za dzikie zwierzę, gdyż był w skóry kudłate zwierząt odziany, rzucił się w sam środek rzezi z przerażającym śmiechem i jakby radosnym rykiem. Nikt nie wiedział skąd się zjawił, ani też po której walczył stronie, bowiem kamienna jego siekiera nie robiła wyboru w ofiarach, rozbijając z jednaka zapamiętałością czaszkę powstańca, jak i żołnierza. Chętniej jednak zdawał się mordować muszkietarów munckholmskich. Wszystko przed nim ustępowało; przesunął się przez tłum walczących, jak duch, a jego skrwawiona siekiera bezustanku zakreślała koło, rozrzucając na wszystkie strony kawały ciała, złamane członki, zgruchotane kości. Krzyczał on: — Zemsta! — jak i inni, i wymawiał dziwaczne słowa, pośród których imię *Gilla* często się powtarzało.

Jeden z górali, na którym się zatrzymało jego zabójcze spojrzenie, rzucił się do nóg olbrzymia, w którym Kennybol niedawno jeszcze pokładał taką nadzieję i zawołał:

— Hanie z Islandyi, ratuj mnie!

— Han z Islandyi! — powtórzył mały człowiek i poskoczył ku olbrzymowi.

— Czy to ty jesteś Hanem z Islandyi? — zapytał.

Olbrzym za całą odpowiedź podniósł do góry swą siekierę żelazną. Mały człowiek cofnął się, a ostrze siekiery, spadając, zagłębiło się w czaszce nieszczęśliwego, który błagał olbrzymia o ratunek.

Han z Islandyi. Tom III.



Nieznajomy zaczął się śmiać.

— Ho! ho! na Ingolpha! sądziłem, że Han z Islandyi jest zręczniejszy.

— W ten sposób — rzekł olbrzym — Han z Islandyi ratuje tych, którzy go o to błagają.

— Masz słuszność!

Dwaj straszni przeciwnicy natarli na siebie. Siekiera żelazna i topór kamienny spotkały się, a uderzyły o siebie tak silnie, że oba ostrza w tysiące iskrzących rozpadły się części.

Szybszy niż myśl, mały człowiek chwycił za drewnianą maczugę, leżącą na ziemi i unikając olbrzymia, który się nachylił, aby go chwycić w swoje ramiona, zadał oburęcznie maczugą szalony cios w czoło swego kolosalnego przeciwnika.

Olbrzym wydał stłumiony okrzyk i upadł. Wtedy mały człowiek kopnął go z tryumfem nogą.

— Za ciężkie dla siebie nosiłeś imię — rzekł.

I potrząsając zwycięsko maczugą, pobiegł innych dla siebie szukać ofiar.

Olbrzym nie był zabity. Gwałtowność ciosu odurzyła go tylko. Po chwili otworzył oczy i poruszył się. Wtedy właśnie jeden z muszkieterów spostrzegł go i rzucił się nań wołając:

— Han z Islandyi ujęty, zwycięstwo!

— Han z Islandyi ujęty! — powtórzyło tysiące głosów z tryumfem lub rozpaczą.

Mały człowiek w tym czasie zniknął.

Górale przekonali się, że muszą uleść przeważającej sile, z muszkieterami bowiem złączyli się tyralierzy z lasu, oraz oddziały ułanów i dragonów, pieszo

przybywające z głębi wąwozu. Poddanie się głównych wodzów powstańczych położyło koniec rzezi. Dzielnny Kennybol, raniony na początku walki, był również w niewoli. Ujęcie Hana z Islandyi do reszty pozbawiło odwagi powstańców. Złożyli więc broń.

Kiedy pierwszy brzask dzienny oświecił szczyty pokrytych lodem gór, których niższą połowę spowijały jeszcze ciemności, w wąwozie Czarnego Słupa głucha panowała cisza, przerywana niekiedy słabymi jękami umierających. Czarne stada kruków zlatywały się na pobojuwisko ze wszystkich stron, a pasterze, przechodzący o świcie po ścieżce wśród skał, wracali przeżeraeni do swoich chat, utrzymując, że w wąwozie Czarnego Słupa widzieli straszliwe zwierzę o ludzkiej twarzy, które siedząc wśród stosu trupów, piło ludzką krew.



VII.

Niech kto chce goreje pod tym  
ogniem ukrytym.

*Brantome.*

— Otwórz okno, moja córko, te szyby są tak  
ciemne, a ja chciałbym widzieć trochę światła dziennego.

— Dziennego światła, mój ojcze? Już noc się  
zbliża.

— Jeszcze widać promienie słońca na wzgórzach,  
otaczających zatokę. Potrzebuję odetchnąć świeżym  
powietrzem przez kraty mojego więzienia. Niebo jest  
tak czyste!

— Mój ojcze, nadchodzącą burzę widać na ho-  
ryzoncie.

— Burzę, Ethelo? Gdzież ty ją widzisz?...

— Właśnie dlatego, że niebo jest tak czyste,  
mój ojcze, sędzę, że będzie burza.

Starzec spojrzał na młodą dziewczę ze zdziwie-  
niem.

— Gdybym tak myślał w mojej młodości—rzekł  
— nie dostałbym się tutaj.

Później dodał głosem mniej wzruszonym:

— To, co mówisz, jest słuszne, ale niewłaściwe  
twemu wiekowi. Nie pojmuję, w jaki sposób twój  
młody rozsądek podobny jest do mego starego doświad-  
czenia.

Ethel spuściła oczy, jak gdyby ją zmieszala ta  
uwaga, tak prosta i poważna. Jej ręce złożyły się  
boleśnie, a głębokie westchnienie podniosło piersi.

— Moja córko — rzekł więzień — od kilku dni  
jesteś tak blada, jak gdyby życie nie ogrzewało nigdy  
krwi w twoich żyłach. Od pewnego czasu zbliżasz się  
do mnie co rano z oczami czerwonymi i spuchniętymi,  
które widać płakały i nie zamknęły się w nocy. Wiele  
już dni, Ethelo, spędzam w milczeniu, a głos twój nie  
stara się wyrwać mnie z posępnej zadumy o przeszło-  
ści. Jesteś smutniejszą ode mnie, a jednak nie dźwi-  
gasz, jak twój ojciec, całego życia próżni i nicości.  
Smutek otacza twoją młodość, nie powinien jednak  
mieć przystępu aż do twego serca. Poranne chmury  
szybko się rozpraszają. Jesteś w tym okresie życia,  
w którym w marzeniach naszych tworzymy sobie przy-  
szłość, niezależną od teraźniejszości, jakąkolwiekby ona  
była. Cóż ci więc jest, moja córko? Dzięki jednostaj-  
ności więzienia, wolną jesteś od wszelkich nieprzewi-  
dzianych nieszczęść. W czymże złądziłaś? Nie sędzę  
bowiem, abym ja był powodem twojego smutku; po-  
winnaś już była przywyknąć do mego nieszczęśliwego  
położenia. Wprawdzie nadziei niema w mojej mowie,  
nie jest to jednak powodem, abym w twoich oczach  
miał widzieć rozpacz.

Gdy mówił w ten sposób, jego głos surowy na-  
brał ojcowskiej czułości. Ethel stała przed nim milczą-  
ca; nagle odwróciła się, uklękła na kamieniach i twarz  
ukryła w dłoniach, jak gdyby dla stłumienia łez i łkań,  
które wyrwały się z jej piersi.

Zbytek bóleści przepępniał serce nieszczęśliwej



dziewicy. Co uczyniła takiego złowieszczej nieznajomej, że ta odkryła jej tajemnicę, która zniweczyła całe jej życie? Gdyż od czasu, jak poznała całe nazwisko Ordenera, oczy biednej nie znały snu, ani jej dusza spokoju.

Noc jej tylko przynosiła tę ulgę, że mogła płakać swobodnie. Stało się więc! Nie dla niej już był ten, do którego należały wszystkie jej wspomnienia, boleści, wszystkie jej modlitwy; ten, którego w marzeniach uważała już za swego małżonka. Ów wieczór bowiem, kiedy Ordener z taką tkliwością tulił ją w swoich objęciach, w jej myślach był już snem tylko. I istotnie, każdej nocy sen ten widziała. Miłość więc, którą czuła dla nieobecnego kochanka, była występna... Ordener był narzeczonym innej! A któż zdoła wypowiedzieć, co uczuło to serce dziewicze, kiedy nieznanne i dziwaczne uczucie zazdrości weisnęło się doń, jak zjadliwa żmija; kiedy podczas długich chwil bezsennych poruszała się na palącym ją łożu, wystawiając sobie, że jej Ordener może w tej samej chwili być w objęciach innej kobiety, piękniejszej, bogatszej i szlachetniejszej niż ona?

— Byłam szaloną — mówiła do siebie — sądząc, że on miał się dla mnie na śmierć narażać! Ordener jest przecież synem vicekróla, potężnego magnata, a ja jestem tylko biedną uwięzioną, pogardzonym dzieckiem wygnańca. Udał się zapewne, aby zaślubić swą piękną narzeczoną, córkę kanclerza, ministra, dumnego hrabiego!... Więc mnie zwiódł mój Ordener... O Boże! któżby śmiał pomyśleć, że ten głos tak może zawieźć?

Biedna Ethel zalewała się łzami, bo zdawało się jej,

że widzi Ordenera, który stał się bożyszczem dla całej jej istoty; Ordenera, prowadzącego do ołtarza piękną swą małżonkę i zwracającego się do niej z uśmiechem, który niegdyś był całem jej szczęściem.

Lecz ta niewypowiedziana rozpacz ani na chwilę nie zagłuszała w jej sercu przywiązania do ojca. Szlachetna dziewczeczka najheroiczniej czyniła usiłowania, żeby swą boleść ukryć przed nieszczęśliwym starcem. Boleść bowiem najdotkliwszą się staje, gdy staramy się hamować jej wybuchy, a ukrywane łzy stokrój bardziej są gorzkie od tych, jakie wylewamy swobodnie. Od wielu już dni milczący starzec spostrzegł zmianę w swojej Etheli, a życzliwe pytania, jakie jej zadawał, sprawiły nakoniec, że z jej oczu trysnęły łzy, długo ukrywane w sercu. Ojciec popatrzał czas jakiś z gorzkim uśmiechem na płaczącą córkę, a wstrząsając głową, rzekł nareszcie:

— Ethelo, nie żyjesz pośród ludzi, dla czegoż więc płaczesz?

Dzieweczka zdołała powstrzymać w oczach łzy i rzekła z mocą, z nadzwyczajnym wysiłkiem:

— Ojczy mój i panie, przebacz mi: była to chwila słabości.

To powiedziawszy, rzuciła na niego spojrzenie uśmiechnięte, ale uśmiechem boleśniejším od płaczu, udawszy się zaś w głąb komnaty po Edde, wróciła, usiadła obok milczącego ojca i otworzyła księgę. Opamiętując drżenie głosu, zaczęła czytać; czytania tego jednak nie słyszał ani starzec, ani ona sama.

Nareszcie ojciec skinął dłonią.

— Dosyć, już dosyć, moja córko — rzekł.



Ethel zamknęła książkę.

— Ethelo — zapytał Schumacker — czy myślisz czasami o Ordenerze?...

Dzieweczka, zmieszana, zadrżała.

— Tak — mówił dalej — o Ordenerze, który udał się...

— Ojciez mój i panie — przerwała Ethel — po co się mamy nim zajmować? Myślę, jak i ty mój ojciez, że on już nigdy nie powróci.

— Nie powróci, moja córko? Ja tego nie mogłem powiedzieć. Jakieś przecucie mówi mi właśnie, że go jeszcze zobaczymy.

— Nie tak jednak myślałeś niedawno, ojciez, bo mówiłeś o nim z nieufnością.

— Czyż tak rzeczywiście mówiłem?

— Tak jest, mój ojciez, i ja także jestem twego zdania: mniemam, że on nas zwiódł tylko.

— Że nas zwiódł, moja córko? Tak o nim sądząc postąpiłem, jak wszyscy ludzie, co potępiają, nie mając na to dowodów... Ze strony Ordenera widziałem zawsze oznaki prawdziwej życzliwości.

— A skąd wiesz, mój ojciez, że jego serdeczne słowa nie kryły w sobie podstępnych myśli?

— Ludzie zazwyczaj niechętnie zbliżają się do nieszczęścia i niełaski. Gdyby Ordener nie był mi życzliwym, nie przychodziłby bez szlachetnego celu do więzienia.

— Czy pewny jesteś, mój ojciez — zapytała Ethel drżącym głosem — że bywając tutaj, nie miał on innego celu?

— Jakież? — podchwycił starzec żywo.

Ethel milczała.

Obwinać dłużej ukochanego, którego zawsze broniła przed ojcem, było to dla niej za wiele.

— Nie jestem już hrabią Griffenfeld — mówił Schumacker — nie jestem już wielkim kanclerzem Danii i Norwegii, szafarzem łask królewskich i wszechpotężnym ministrem. Jestem nędznym więźniem stanu, wygnańcem, zadzumionym politycznie. Trzeba mieć wiele odwagi, żeby mówić ze mną, nie wzbudzając oburzenia we wszystkich tych ludziach, których kiedyś obsypałem zaszczytami i bogactwami; trzeba poświęcenia, żeby przekraczać próg tego więzienia, jeśli się nie jest ani dozorcą, ani katem; potrzeba heroizmu, moje dziecko, aby przestąpić ten próg, mieniąc się moim przyjacielem. Nie, nie będę niewdzięcznym, jak cały ród ludzki. Ten człowiek zasłużył na moją wdzięczność, choćby dlatego, że widziałem jego twarz zawsze dla mnie życzliwą i słyszałem głos jego pociechę niosący.

Słowa te kilka dni wcześniej, kiedy Ordener w jej sereu był tylko Ordenerem, uszczęśliwiłyby Ethelę; dziś słuchała ich z niewypowiedzianą przykrością. Starzec, po chwili, mówił dalej uroczyście:

— Słuchaj mnie, moja córko, to bowiem, co ci chcę powiedzieć, bardzo jest ważne. Czuję, że niknę powoli; życie ode mnie ucieka. Tak, moje dziecko, mój koniec nadchodzi.

Ethel przerwała mu ze stłumionym jękiem:

— Nie mów tak, mój ojciez! Ulituj się nad twą biedną córką! Czy i ty także pragniesz ją opuścić? Cóż się z nią stanie samą na świecie, bez twojej opieki?...

— Opieka wygnańca! — rzekł starzec wstrząsa-



jąc głową. — Zresztą o tem właśnie myślałem. Twoje przyszłe szczęście zajmuje mnie bardziej, aniżeli minione przeciwności. Słuchaj mnie i nie przerywaj więcej. Ordener nie zasługuje na to, żebyś go tak surowo sądziła, moja córko; myślałem dotąd, że nie miałas dla niego wstrętu. Jego powierzehowność jest szczerą i szlachetną, co wprawdzie jeszcze niczego nie dowodzi; ale jednak muszę przyznać, że nie zdaje się on być pozbawionym różnych przymiotów, chociaż dostatecznym jest dla niego mieć ludzką duszę, aby w niej ukryć zarodki wszelkich występków i zbrodni. Płomień zawsze wydaje dym.

Starzec zatrzymał się znowu, a wpatrując się w córkę, dodał:

— Czując blizką śmierć, zastanowiłem się nad nim i nad tobą, Ethelo. Jeśli powróci, jak się tego spodziewam... dam ci go za opiekuna i małżonka.

Ethel zdrząła i zbladła. Dopiero w chwili, kiedy marzenie o szczęściu uleciało na zawsze, ojciec chciał je urzeczywistnić. Myśl: „a więc mogłabym być szczęśliwą!“ — podwoiła jej rozpacz. Mileżała chwilę z obawy, że nie powstrzyma łez, które błyszczały w jej oczach.

Ojciec czekał na odpowiedź.

— Jakto! — rzekła nareszcie gasnącym głosem — przeznaczałeś mi go za męża, ojcie mój i panie, nie znając jego urodzenia ani nazwiska?

— Nie *przeznaczałem*, ale ci go *przeznaczam*, moja córko.

Starzec mówił prawie rozkazująco; Ethel westchnęła.

— Przeznaczam ci go, mówię. Bo cóż mnie obchodzi urodzenie? Nie potrzebuję znać jego rodziny, skoro znam jego samego. Pomyśl tylko: jest to jedyna deska ocalenia dla ciebie. Sądzę, że on, na szczęście, nie ma dla ciebie takiego wstrętu, jaki ty dla niego okazujesz.

Biedna dziewczeczka wzniosła oczy ku niebu.

— Wszak mnie słyszysz, Ethelo? Powtarzam, że mnie wcale nie obchodzi jego urodzenie. Jest on zapewne niskiego pochodzenia, ponieważ tych, co się rodzą w pałacach, nie uczą tego, żeby bywali w więzieniach. Tak, moja córko, nie okazuj dumnego żalu; nie zapominaj, że Ethel Schumacker nie jest już księżniczką Wollin i hrabianką Tongsberg; spadłs niżej położenia, z którego wyniósł się twój ojciec. Bądź więc szczęśliwą, jeżeli ten człowiek przyjmie twoją rękę, jakakolwiek jest jego rodzina. Tem lepiej nawet, jeśli jest niskiego pochodzenia; dni twoje bowiem będą wolne od burz, jakie niepokoily życie twojego ojca. Będziesz pędziła, zdala od zazdrości i nienawiści ludzkiej, pod nieznanem nazwiskiem, życie ciche i odmienne od mego, bo się skończy szczęśliwiej, aniżeli zaczęło...

Ethel padła na kolana.

— O mój ojcie, litości!

— Co ty mówisz? — spytał starzec z zadziwieniem.

— Na imię nieba, ojcie, nie mów mi o tem szczęściu, bo ono nie dla mnie!

— Ethelo — odparł starzec surowo — nie lekceważ sobie całego twego życia. Odrzuciłem rękę księ-



źniczki krwi królewskiej, z domu Holstein-Augustenburg, a moja duma okrutnie została ukarana. Ty pogardzasz ręką człowieka niskiego urodzenia, ale za-  
cnego; strzeż się więc, abys równie smutniej nie do-  
znała kary.

Och! — wyszeptala Ethel — gdyby ten czło-  
wiek rzeczywiście był tak zacnym!

Starzec powstał i pełen wzruszenia, przeszedł się  
po pokoju.

— Moja córko — rzekł — wszak to twój ojciec  
prosi cię o to i rozkazuje. Nie zostawiaj mnie przed  
moją śmiercią w niepokoju o twoją przyszłość; przy-  
rzeknij mi, że go przyjmiesz za małżonka.

— Będę ci posłuszną, mój ojczu, ale nie spo-  
dziewaj się jego powrotu...

— Rozważyłem wszystko i po głosie, jakim wy-  
mawiał twoje imię, sędzę...

— Że mnie kocha? — przerwała Ethel z gory-  
czą. — Nie wierz w to mój ojczu.

Starzec odpowiedział jej zimno:

— Nie wiem, czy cię kocha, jak mówisz, ale to  
wiem, że powróci.

— Porzuć tę myśl, ojczu. Zresztą, gdybyś wie-  
dział kto on jest, nie chciałbyć go może za zięcia.

— Będzie nim, Ethelo, jakiegokolwiek jest jego  
nazwisko i stan.

— A gdyby ten człowiek, mój ojczu, którego  
uważałeś za pocieszyciela, w którym widziałeś podpo-  
rę dla twojej córki, był synem jednego z twoich śmier-  
telnych nieprzyjaciół, synem vicekróla Norwegii, hra-  
biego Guldenlewa?...

Schumacker cofnął się zdumiony.

— Co ty mówisz? Wielki Boże! Ordener! ten  
Ordener! To niepodobna!...

Wyraz niewysłowionej nienawiści, jaki zabłysł  
w przyćmionych oczach Schumackera, zmroził serce  
Etheli, która w tej chwili żałowała słów swoich po  
niewczasie.

Cios był zadany. Schumacker stał przez kilka  
chwil nieruchomy, z założonemi rękami; potem wstrzą-  
snął się cały, jak gdyby go położono na rozpalonym  
ruszcie; gorejące jego źrenice omal nie wyszły  
z oprawy, a spojrzenie, utkwione w tafle posadzki,  
zdawało się usiłować przebić ją na wylot. Nareszcie  
z jego ust zsiniałych wyrwało się słów kilka, a i te  
wypowiedziane były głosem tak słabym, jakby je mó-  
wił człowiek w głębokim śnie pogrążony.

— Ordener!... Tak, to Ordener Guldenlew! Da-  
lej stary szaleńcze, otwórz swoje objęcia temu zacne-  
mu młodzieńcowi, co cię przychodzi zasztyletować.

Nagle uderzył nogą o ziemię i przemówił grzmią-  
cym głosem:

— Cały więc swój ród niegodny nastąpi, aby mnie  
znieważał w upadku i niewoli! Widziałem już jednego  
z Ahlefeldów, uśmiechałem się prawie do syna Gul-  
denlewa! Potwory! Któżby to powiedział, że ten Orde-  
ner podobną ma duszę i takie nosi nazwisko? Biada  
mi! Biada mu!

Wyczerpany, upadł na krzesło, a podczas, kiedy  
z jego zbolalej piersi wyrwały się westchnienia, bie-  
dna Ethel, drżąc z przestachu, płakała u jego nóg.



— Nie płacz, moja córko — rzekł do niej ponu-  
rym głosem — pójdz, o! pójdz do mego serca.

I uściśnął ją tkliwie.

Ethel nie wiedziała, jak sobie wytłumaczyć tę pie-  
szczołę w chwili uniesienia, on zaś przemówił po chwili:

— Ty przynajmniej lepiej widziałaś od twego  
ojca. Ciebie nie odszukały słodkie a jadowite spoj-  
rzenia węża. Pójdz, niechaj ci podziękuję za niena-  
wiść, jaką okazałaś dla tego przekłętego Ordenera.

Na pochwałę tak niezastużoną, Ethel zdrżała.

— Ojczy mój i panie — rzekła — uspokój się...

— Przynajmniej mi — przerwał Schumacker —  
że zawsze te same życie będziesz uczucia dla syna  
Guldenlewa; przysięgnij mi to!

— Bóg nie każe przysięgać, mój ojczy...

— Przysięgnij, moja córko — powtórzył Schu-  
macker z uniesieniem. — Czy mogę ci zaufać, że w swo-  
jem sercu zawsze to samo uczucie zachowasz dla Or-  
denera Guldenlewa?

Etheli nietrudno było odpowiedzieć:

— Zawsze!

Starzec przyciągnął ją do siebie.

— Szczęśliwy jestem, moja córko, że nie mogąc  
zostawić ci bogactw, ani zaszczytów, które mi wro-  
gowie wydarli, zostawiam ci przynajmniej nienawiść  
dla ich rodu. Słuchaj — wydarli oni twemu staremu  
ojcu jego znaczenie i chwałę, powlekli go w kajda-  
nach na rusztowanie i zarzucając mu wszelkie zbro-  
dnie, kazali przechodzić wszelkie kary. Nędznicy! Wła-  
dzą, jaką ich obdarzyłem, przeciw mnie zwrócili! Nie-  
chaj mnie niebo i piekło usłyszy, niechaj będą prze-  
klęci w życiu, przekłęci w potomstwie!

Umilkł na chwilę; później, uściśnawszy córkę,  
przerazoną jego złorzeczeniami, mówił dalej:

— Ale ty, moja Ethelo, co jesteś jedynem mo-  
jem dobrem i chwałą, powiedz mi, jakim sposobem  
miałaś więcej ode mnie przecucia? Jak odkryłaś, że  
zdrajca ten nosił jedno z nienawistnych imion, które  
napisane są żółcią w mojem sercu? Jak odgadłaś tę  
tajemnicę?

Ethel zbierała siły, ażeby odpowiedzieć, gdy na-  
gle drzwi się otwały i na progu stanął człowiek czar-  
no ubrany, z hebanową laską w rękę, ze stalowym  
łańcuchem na szyi, a z nim halabardziści, również  
w czarnym stroju.

— Czego chcesz? — zapytał więzień szorstko.

Przybyły, nie odpowiadając i nie patrząc na nie-  
go, rozwinął długi pergamin, przy którym, na długim  
sznurze jedwabnym, wisiała pieczęć z zielonego wosku,  
i odczytał głośno:

— „W imieniu Jego Królewskiej Mości, naszego  
miłościwego monarchy i pana, Chrystyana, króla! Po-  
leca się Schumackerowi, więźniowi stanu w królew-  
skiej fortecy w Munckholm i jego córce udać się za  
okazicielem niniejszego rozkazu“.

Schumacker powtórzył zapytanie:

— Czego chcesz ode mnie?

Człowiek czarno ubrany, jednako niewzruszony,  
brał się już do powtórnego odczytania rozkazu.

— Dość, dość! — przerwał starzec.

Poczem wstawszy, dał znak Etheli zdziwionej  
i przestraszonej, aby wraz z nim udała się za tą ża-  
łobną eskortą.



### VIII

Dano sygnał złowieszczy, upodlony  
sługa sprawiedliwości puka do jego  
drzwi, oznajmiając, że go oczekują.

*Józef de Maistre*

Noc przed chwilą zapadła; zimny wiatr świstał dokoła Przekłętej Wieży, a wszystkie drzwi zwałisk Wygla poruszały się na zardzewiałych zawiasach, jak gdyby jedna i ta sama ręka niemi wszystkimi wstrząsała jednocześnie.

Mieszkańcy wieży, kat i jego rodzina, zebrałi się w izbie pierwszego piętra przy płonącym ognisku, które ich ponure twarze i szkarłatowe odzienie czerwona wami obrzucało blaski. W rysach dzieci było coś równie okrutnego, jak w śmiechu ich ojca, a bezmyślnego, jak w spojrzeniu matki. Oczy ich i Bechlii zwrócone były na Orugixa, który siedząc na drewnianym stołku, zdawał się odpoczywać; nogi jego, pyłem okryte, świadczyły, że powracał z dalekiej wycieczki.

— Słuchaj żono, słuchajcie dzieci. Nie było mnie w domu przez całe dwa dni, ale to nie znaczy, żebym wrócił ze złemi nowinami. Jeżeli przed upływem miesiąca nie będę katem królewskim, to już chyba za-

pomnę ściągać węzeł z pętlicą, albo uderzać toporem. Ciescie się, moje wilczęta, wasz ojciec pozostawi wam może, jako dziedzictwo, szafot w samej Kopenhadze.

— Więc jest coś nowego, Nychol? — zapytała Bechlia.

— I ty, stara Cyganko — mówił dalej Nychol ze śmiechem — ciesz się także. Teraz możesz sobie kupić z niebieskiego szkła naszyjnik, ażeby przyozdobić swą szyję, podobną do szyi zaduszonego bociana. Nasza umowa wkrótce się skończy; skoro jednak zostaną pierwszym katem w obu królestwach, to pewnie zgodzisz się nowy ze mną rozbić dzbanek.

Nychol uczynił aluzję do zwyczaju tłuczenia garnka, według którego Cyganki zawierały śluby małżeńskie na tyle lat, na ile części garnek się rozleciał.

— Cóż to takiego, ojeze? — spytały dzieci, z których starsze bawiło się skrwawionym kozłem torturowym, a młodsze wyrывało pióra ptaszynie, wyjętej z gniazdka z pod skrzydeł matki.

— Co takiego, moje dzieci? Zabij no tego ptaka, Haspar, bo piszczy, jak tępa piła. A zresztą, nie trzeba być okrutnym. Co takiego? Nic, bardzo mało do prawdy; chyba to, pani Bechlio, że przed upływem tygodnia, były kanclerz Schumacker, uwięziony teraz w Munckholm, który mi się już tak dobrze przypatrzył w Kopenhadze i słynny rozbójnik islandzki, Han z Klipstadur, przejdą może obadwa przez moje ręce.

Błędne oczy czerwonej kobiety zajaśniały zdziwieniem i ciekawością.

— Schumacker! Han z Islandyi! Jakto, Nychol?

— Tylko tyle. Wczoraj rano, na drodze ze Skon-Han z Islandyi. Tom III.



gen, przy moście Ordals, spotkałem cały pułk muszkietarów munckholmskich, wracający do Drontheimu z radośnemi śpiewami i okrzykami. Zapytawszy jednego z żołnierzy, który raczył mi odpowiedzieć — bo pewnie nie wiedział, dlaczego mam czerwony płaszcz i jadę na czerwonym wozie, — dowiedziałem się, że muszkietrzy powracali z wawozów Czarnego Słupa, gdzie rozbili ze szczętem bandę rozbójników, to jest zbuntowanych górników. Trzeba ci wiedzieć, Cyganko Bechlio, że rokowanie ci powstali dla Schumackera, dowodził zaś nimi Han z Islandyi. Otóż, pochwycenie za broń ze strony Hana jest śliczną zbrodnią buntu przeciw władzy królewskiej, a pobudka do tego ze strony Schumackera zbrodnią zdrady stanu; zbrodnie te zaprowadzą obu tych szanownych jegomościów na szubienicę albo na szafot. Do tych dwóch wspaniałych egzekucyj, z których każda przyniesie mi przynajmniej piętnaście dukatów złotem i największy zaszczyt w obu królestwach, dodaj jeszcze kilka innych, wprawdzie mniej ważnych...

— Jakto? — przerwała Bechlia — więc Han z Islandyi został ujęty?..

— Dlaczego przerywasz twojemu władcy i panu, przeklęta kobieto? — ofuknął ją kat. — Tak jest — dodał łagodniej — ten sławny, ten niezwalczony Han został ujęty, wraz z innymi wodzami rozbójników, z których każdy przyniesie mi także po dwanaście talarów od głowy, nie licząc w to sprzedaży trupów. Został ujęty, powiadam ci, a nawet, skoro już trzeba zaspokoić całą twoją ciekawość, widziałem go, jak szedł między dwoma szeregami żołnierzy.

Żona i dzieci zbliżyły się żywo do Orugixa.

— Widziałeś go, ojcze? — zapytały dzieci.

— Cicho! dzieci. Krzyczycie, jak hultaj, który chce udawać niewinnego. Widziałem go. Jest to prawdziwy olbrzym; szedł ze skutemi na plecach rękami, z obwiązaną głową. Widać, że go raniono. Niech jednak będzie spokojny, wyleczę go niedługo z tej rany.

Dodawszy do tych słów okropnych gest odpowiedzi, kat mówił dalej:

— Zresztą, ten straszliwy olbrzym zdawał się być zupełnie upadłym na duchu. Szło z nim czterech jego towarzyszy, również więźniów i również ranionych, a wszystkich prowadzono do Drontheimu, gdzie będą sądzeni, wraz z byłym kanclerzem Schumackerem, przez trybunał, w którym ma zasiadać wysoki syndyk, a przydować wielki kanclerz.

— Ojcze, a jak wyglądali inni więźniowie?

— Dwaj to już starcy. Jeden miał kapelusze górniczy, a drugi czapkę góralską. Obadwaj zdawali się być w rozpacz. Z dwóch innych, jeden był to młody górnik, który szedł z głową do góry, pogwizdując, drugi zaś... Pamiętasz pewnie, przeklęta Bechlio, tych podróźnych, co to przed kilkunastu dniami weszli do naszej wieży, w noce, podczas gwałtownej burzy?..

— Jak szatan pamięta o dniu swojego upadku — odparła kobieto.

— Czyś zauważyła pomiędzy podróźnymi młodego człowieka, który towarzyszył owemu staremu doktorowi w wielkiej peruce? Młodzieniec ten miał płaszcz zielony i kapelusz z czarnem piórem.

— Zdaje mi się, że go jeszcze widzę, jak mówi do mnie: — Wy macie dach, a my mamy złoto... —

— Niech więc już nigdy w życiu, oprócz kogutów, ni-



komu karku nie ukręcę, jeśli czwartym więźniem nie był ów młody człowiek. Jegotwarz wprawdzie zasłaniało pióro, kapelus, włosy i płaszcz; przytem miał spuszczoną głowę; ale miał na sobie to samo ubranie, miał te same wielkie buty, tę samą minę... Niech połknę kamienną szubienicę w Skongen, jeśli to nie on! No i cóż ty na to, Bechlio? Czy to nie będzie zabawne, jak nieznamy ten, który doznał mojej gościnności, teraz zręczności mojej spróbuje?

Uśmiewszy się ze swego dowcipu, ciągnął dalej:

— Zatem, cieszymy się wszyscy i pijmy. Bechlio, daj mi szklanekę tego piwa, co drapie gardło, jakby się pilniki piło; wypiję go za moje przyszłe wyniesienie. No, dalej, za zdrowie pana Nychola Orugix, przyszłego wykonawcy królewskiego. Przyznam ci się, stara jęzdo, że z przykrością udałem się do miasteczka Noes, aby tam powiesić jakiegoś nędznego złodzieja cykoryi i kapusty. Zastanowiłem się jednak, że trzydzieści dwa askaliny nie były do pogardzenia, a moje ręce nie skalają się tracąc prostych złodziej i innych łotrów tego rodzaju, dopóki nie zetnę głowy szlachetnego hrabiego, byłego kanclerza i sławnego szatana z Islandyi. Zdecydowałem się więc, w oczekiwaniu na dyplom mistrza królewskiego, wysłać na tamten świat owego biedaka w Noes, i oto — dodał dobywając worek — przynoszę ci, stara, trzydzieści dwa askaliny.

W tej chwili pod wieżą dał się słyszeć trzykrotny odgłos rogu.

— Kobieto — zawołał Orugix zrywając się — to pewnie łucznicy wysokiego syndyka.

Po tych słowach, spiesznie wyszedł i wrócił nie-

bawem, niosąc wielki pergamin, którego pieczęć spiesznie rozłamał.

— Patrz — rzekł do żony — co mi wysoki syndyk nadesłał. Przeczytaj to ty, cobyś bazgraninę samego dyabła odczytać umiała. Może to już moja nominacya. Bo skoro sąd będzie miał wielkiego kanclerza za przysługującego i wielkiego kanclerza jako obwinionego, toż przecie wypada, żeby kat, który ma wykonać jego wyrok, był katem królewskim.

Żona wzięła pergamin, popatrzyła nań przez chwilę i zaczęła głośno czytać, a dzieci podczas tego rzucały na nią spojrzenia głupowate i bezmyślne.

— W imieniu wysokiego syndyka Drontheimhuusu! Poleca się Nycholowi Orugix, katowi prowincyi, aby natychmiast przybył do Drontheimu, zaopatrzonej w honorowy topór, pień i czarne obicia.

— Czy to wszystko? — zapytał kat zawiedziony.

— Wszystko — odparła Bechlia.

— Kat prowincyi! — mruknął Orugix przez zęby.

Przez chwilę milczał, rzucając na pergamin syndyka gniewne spojrzenia.

— Bądź co bądź — rzekł nakoniec — trzeba być posłusznym. Żądają jednak honorowego topora i czarnego obicia. Bechlio, pościeraj rdzę z topora i zobacz, czy kir nie jest krwią poplamiony. Zresztą, niema się co zniechęcać; chcą mnie widocznie zaawansować dopiero w nagrodę za te wspaniałe egzekucyje. Tem gorzej dla skazanych, że nie będą mieli honoru zginąć z ręki królewskiego wykonawcy.



IX

*Elwira.*

Cóż to się stało z biednym Sanchem? Nie pokazał się w mieście.

*Nuno.*

Sancho musiał się dobrze ukryć.

*Lopez di Vega* „Najlepszym alka-  
dem jest król“.

Hrabia Ahlefeld, w obszernym, czarnym płaszczu z gronostajami, w wielkiej peruce urzędowej, która spadała aż na jego ramiona, z mnóstwem na piersiach gwiazd i orderów, pomiędzy którymi wyróżniały się łańcuchy Słonia i Danebroga, jednym słowem w paradnym stroju wielkiego kanclerza Danii i Norwegii, przechadzał się z miną stroskaną po apartamencie hrabiny Ahlefeld, która w tej chwili sama tylko z nim się znajdowała.

— No, już dziewiąta godzina — odezwał się — trybunał zaraz rozpocznie posiedzenie. Nie trzeba mu kazać czekać, albowiem koniecznym jest, by wyrok zapadł dziś w nocy, a najpóźniej jutro rano został wykonany. Syndyk zapewnił mnie, że kat będzie tu jeszcze przed świtem. Czy kazałaś, Elphegio, przygotować statek, na którym pojedę do Munkholmu?

— Czeka już przynajmniej od pół godziny — odparła hrabina podnosząc się z sofy.

— A lektyka czy stoi przed drzwiami?

— Tak jest, panie.

— Powiadasz więc, Elphegio — zagadnął nagle hrabia, przesuwając dłonią po czole — że pomiędzy Orde-  
nerem Guldenlew i córką Schumackera istnieje intryga miłosna?

— Ręczę za to — odparła hrabina ze śmiechem pełnym gniewu i pogardy.

— Któżby to pomyślał?.. Jednakże, przyznam ci się, że ja też coś podejrzewałem.

— I ja również — rzekła hrabina. — Jest to figiel tego przekłętego Lewina.

— Stary hultaj — wyszeptał kanclerz — poczekaj, polecę ja ciebie Arensdorfovi. Gdyby mógł wypaść z łaski! Ale słuchajno, Elpegio, przychodzi mi myśl...

— Cóż takiego?

— Wiesz o tem, że więźniów, których mamy sądzić w zamku munkholmskim, jest sześciu: Schumacker, którego, jak się spodziewam, już się jutro obawiać nie będę; olbrzym góral, nasz fałszywy Han z Islandyi, który przysiągł utrzymać się w swej roli aż do końca, w nadziei, że Musdoemon, od którego otrzymał już znaczne sumy, ułatwi mu ucieczkę. Ten Musdoemon miewa myśli prawdziwie szatańskie! Z czterech pozostałych obwinionych, trzech to dowódcy powstańców, czwarty zaś, to nieznamy, który się znalazł, niewiadomo jakim sposobem, na zgromadzeniu w Apsyl-Corh, a wskutek zabiegów Musdoemona, dostał się w nasze ręce. Według Musdoemona, musi to



być szpieg Lewina Knud. I istotnie przybywając tutaj, więzien ten zaraz pytał o jenerała, dowiedziawszy się zaś o nieobecności Meklemburgeczyka, zdawał się być bardzo przerażony. Przytem nie chciał odpowiadać na pytania, jakie mu Musdoemon zadawał.

— A dlaczegóż go sam nie wybadałeś, mężu mój i panie?

— Czyż mogłem to uczynić przy nawale zatrudnień, jakie mnie obarczają od samego mego przyjazdu? Sprawę tę poruczyłem Musdoemonowi, którego ona również, jak i mnie, zajmuje. Zresztą, moja droga, człowiek ten sam przez się niewiele znaczy: pewnie to jaki biedny włóczęga. Możemy go tylko przedstawić jako ajenta Lewina Knud, a ponieważ został ujęty w szeregach buntowników, przeto okoliczność ta będzie mogła świadczyć o występnej znowie między Meklemburgeczykiem i Schumackerem, co może wywołać, jeżeli nie obwinienie, to przynajmniej niełaskę przeklętego jenerała.

Hrabina rozważała przez chwilę.

— Masz słusność, panie — rzekła wreszcie. — Ale ta fatalna skłonność barona Thorvick dla Etheli Schumacker...

Kancelerz raz drugi potarł czoło ręką, poczem, wzruszając ramionami, rzekł:

— Ani ja, ani ty, Elphegio, nie jesteśmy nowicyuszami w życiu, a jeszcze nie znamy ludzi! Gdy Schumacker raz drugi dotknięty zostanie wyrokiem sądu o zdradę stanu, gdy na szafocie sromotną poniesie karę, a jego córka, na zawsze skalana publiczną hańbą jej ojca, spadnie niżej ostatnich warstw społeczeństwa:

czy myślisz, Elphegio, że wówczas Ordener Guldenlew wspomni choć na chwilę o tej dziecinnej miłostce, którą ty, sądząc ze słów egzaltowanej i głupiej dziewczyny, nazywasz skłonnością? Czy przypuszczasz, że w wyborze pomiędzy córką nędznego przestępcy a córą dostojnego kanclerza zawaha się choć chwilę? Ludzi, moja droga, według siebie sądzić wypada.

— Pragnęłabym, abyś i tym razem miał słusność. Zdaje mi się jednak, że uznasz za właściwe żądać od syndyka, by córka Schumackera obecną była przy procesie jej ojca i by ją pomieszczono w trybunie, w której ja znajdować się będę. Chciałabym ją poznać dokładnie.

— Wszystko, co sprawę tę może rozjaśnić, ma nader wielką wagę — rzekł kanclerz z flegmą. — Ale, powiedz mi, czy wiadomo, gdzie jest teraz Ordener?

— Nikt tego nie wie; jest to godny uczeń starego Lewina, jak on, prawdziwy błędny rycerz. Sądzę, że musi zwiedzać obecnie Ward-Hus...

— No, no, nasza Ulryka przywiąże go więcej do domu. Ale, zapomniałem, że trybunał na mnie czeka...

Hrabina zatrzymała kanclerza.

— Jeszcze jedno słowo, hrabio. Mówiłam już o tem wczoraj, ale byłeś bardzo zajęty, nie otrzymałam przeto odpowiedzi. Gdzie jest Fryderyk?

— Fryderyk! — powtórzył hrabia posepnie, podnosząc rękę do czoła.

— Tak jest, mój Fryderyk. Odpowiedz mi. Pułk bez niego wrócił do Drontheimu. Przysięgnij mi, że Fryderyk nie był w tych okropnych wawozach



Czarnego Słupa. Dlaczego na imię Fryderyka zmieniła się twarz twoja? Jestem śmiertelnie niespokojną.

— Uspokój się, Elphegio. Przysięgam ci, że syn nasz nie był w wąwozie Czarnego Słupa... A zresztą ogłoszono przecież listę oficerów zabitych lub raniomych w tej bitwie...

— Dodajesz mi otuchy — rzekła hrabina uspokojona. — Prawda, że dwóch tylko zginęło oficerów, kapitan Lory i młody baron Randmer, który tak szalał z moim Fryderykiem na balach w Kopenhadze. O! tak, kilkakrotnie odczytywałam listę. Powiedz mi więc, hrabio, czy syn mój został w Wallstrom?

— Tak jest — odparł Ahlefeld.

— A więc, drogi przyjacielu — rzekła hrabina z uśmiechem, który ponętnym uczynić chciała — błagam cię tylko o jedną łaskę; niech Fryderyk jak najspieszniej powróci z tych miejsc okropnych.

Kanclerz z trudnością uwolnił się od błagalnego uścisku.

— Pani — rzekł — trybunał na mnie czeka. Żegnaj cię: to, czego żadasz, nie zależy ode mnie.

Powiedziawszy to, wyszedł z pośpiechem.

Hrabina patrzyła za nim posepnie.

— Nie zależy to od niego — rzekła do siebie — a jedno jego słowo mogłoby mi powrócić mojego syna. O tak, dawno już odgadłam, że ten człowiek nie ma wcale serca.

## X

Czy to w ten sposób obchodzi się z człowiekiem, piastującym wysoką godność? Czy sprawiedliwości nie należy się szacunek?

*Calderon.*

Drżącą Ethel, po rozłączeniu jej z ojcem u wyjścia z wieży Lwa Szlezwiskiego, straż poprowadziła przez ciemne korytarze, dotąd jej nieznane, do ponurej celki, której drzwi za nią zamknięto. Nawprost wejścia w celi tej był otwór zakratowany, przez który wdzierało się światło pochodni i kagańców. Przed otworem stała ławka, a na niej siedziała kobieta, czarno ubrana i gęstym okryta woalem, która wchodzącej dziewczeczce dała znak, aby obok niej usiadła. Ethel uczyniła to.

Zwróciwszy oczy ku zakratowanemu otworowi, ujrzała po za nim posepny i wspaniały zarazem widok.

W sali czarno obitej i słabo oświetlonej przez lampy, wiszące u sklepienia, wznosił się czarny stół w kształcie podkowy, przy którym siedmiu siedziało sędziów również w czerni. Jeden z nich, zajmujący wyższe krzesło, miał piersi okryte złotymi łańcuchami i dyamentowemi gwiazdami. Sędzia z prawej strony



odznaczał się białym pasem i płaszczem gronostajowym, co stanowiło strój wysokiego syndyka prowincyi. Również z prawej strony stołu było wzniesienie, nasłonięte baldachinem; na niem zasiadał starzec w pontyfikalnych szatach biskupich; z lewej stał stolik, pokryty papierami, po za którym widać było człowieka niskiego wzrostu, w ogromnej peruce i czarnej todze.

Wprost sędziów stała ławka, otoczona halabardzistami z pochodniami w ręku, których światło, odbijając się o lance, muszkiety i halabardy, rzucało niepewne blaski na twarze licznych widzów, cisnących się do kraty, oddzielającej ich od sądu.

Widok ten wydał się Etheli zjawą senną; nie była jednak obojętną na to, co się działo przed jej oczami. Jakiś głos tajemniczy kazał jej pilnie uważać na wszystko, gdyż czekało ją jedno ze strasznych przejść życia. Sercem jej miotaly dwa różne uczucia: pragnęła dowiedzieć się jak najprędzej, o ile jej dotyczyła scena, na którą patrzyła, albo nie wiedzieć o tem nigdy. Od wielu już dni myśli, że OrdeNER był nazawsze dla niej straconym, natchnęła ją pragnieniem, aby raz już zakończyć życie i jednym rzutem oka przeczytać całą księgę swego przeznaczenia. Dlatego też pojmując, że nadeszła godzina, stanowiąca o jej losie, przypatrywała się obrazowi, który rozwijał się przed jej oczami, raczej z niecierpliwością i smutną radością, niżeli ze wstrętem.

Widziała, jak prezydujący wstał, oznajmiając w imieniu króla, „że posiedzenie sprawiedliwości rozpoczęło się“.

Słyszała, jak człowiek, stojący z lewej strony

stołu, czytał z cicha i szybko długie oskarżenie, w którym nazwisko jej ojca łączyło się z wyrazami: *spisek, bunt górników, zdrada stanu*. Wówczas przypomniała sobie, co jej mówiła złowróźbna nieznajoma w ogrodzie więziennym o obwinieniu, jakie groziło jej ojcu, a zdrząła usłyszawszy, jak czarny człowiek mowę swą zakończył dobitnie wypowiedzianym wyrazem *śmierć*.

Przerazona, zwróciła się do zakwefionej kobiety, która dziwną przejmowała ją obawą.

— Gdzie my jesteśmy? Co to wszystko znaczy? — spytała trwożliwie.

Nieznajoma skinieniem nakazała jej milczenie i uwagę. Zaczęła więc znowu patrzeć w głąb sali.

W tej chwili powstał starzec w biskupich szatach i Ethel słyszała wyraźnie, jak mówił:

— W imię Wszechmocnego i Miłosiernego Boga! Ja, Pamphelius-Eleutery, biskup królewskiego miasta Drontheimu i królewskiej prowincyi Drontheimhuus, witam szanowny trybunał, sądzący w imię króla, naszego pana po Bogu i oświadczam, iż zważywszy, że obwinieni, stawieni przed trybunałem, są ludźmi i chrześcijanami, a nie mają obrońców, zamierzam przynieść im słabą moją pomoc w okropnem położeniu, w jakim spodobalo się Niebu ich postawić. Proszę Boga, aby nam użyzył swej siły w naszej niedołejnej słabości i swego światła w naszej głębokiej ślepcie. W ten sposób ja, biskup tej królewskiej dyecezyi, witam szanowny sądzący trybunał.

Tak przemówiwszy, zszedł ze swego pontyfikalnego tronu i zasiadł na ławce, przeznaczonej dla obwiniętych, a szmer pochwalny rozległ się między ludem.



Prezydujący powstał i rzekł sucho:

— Halabardziści, zmaglić izbę do milczenia! Księżę biskupie, trybunał, w imieniu obwinionych, składa waszej ekscelencji podziękowanie. Mieszkańcy Drontheimhuusu, oceńcie wysoką sprawiedliwość króla: trybunał sędzić będzie bez apelacyi. Łucznicy, przyprowadźcie obwinionych!

W zgromadzeniu nastąpiła cisza pełna oczekiwania i trwogi; wszystkie głowy poruszyły się w cieniu, jak fale burzliwego morza, w które wkrótce piorun ma uderzyć.

Po chwili Ethel usłyszała głuchy szmer i jakiś ruch niezwykły w korytarzach, prowadzących do sali sądowej; widzowie rozsunęli się z dreszczem niecierpliwości i zaciekawieniem, rozległy się odgłosy licznych kroków, błysnęły halabardy i muszkiety, a następnie sześciu ludzi okutych, z gołemi głowami, otoczonych strażą, weszło w ogrodzenie, otaczające stół sądowy. Ethel ujrzała tylko pierwszego z więźniów: był nim starzec z siwą brodą, w czarnej szacie — jej ojciec.

Mdlejąca prawie, oparła się o kamienną balustradę, wznoszącą się przed ławką; wszystkie przedmioty zaczęły się kręcić przed jej oczami jakby w tumanie, słyszała silne uderzenia własnego serca. Wreszcie szepnęła:

— Boże zlituj się nade mną!

Zakweśniona kobieta nachyliła się do niej i podała jej sole trzeźwiące, które wróciły jej przytomność.

— Szlachetna pani — rzekła — przez litość, jedno twoje słowo może mnie przekonać, czy nie jestem igraszką jakich widm piekielnych...

Nieznajoma, głucha na jej prośby, zwróciła głowę w stronę sądu, a biedna Ethel, przyszedłszy już nieco do siebie, mimowoli uczyniła to samo.

Prezydujący powstał i rzekł zwolna, uroczyście:

— Więźniowie, przyprowadzono was tutaj, abyśmy zbadali, czy jesteście winni zbrodniom: zdrady stanu, spiskowania i zbrojnego buntu przeciw władzy króla, naszego monarchy i pana. Roztrząśnijcie dobrze wasze sumienia, ponieważ na waszych głowach ciąży straszne obwinienie o zbrodnię obrazy majestatu w pierwszym stopniu.

W tej chwili promień światła padł na twarz jednego z obwinionych. Był nim młody człowiek ze zwieszoną na piersi głową, jak gdyby rysy swej twarzy chciał ukryć w zwojach długich włosów, które mu na lica spadały. Ethel zadrżała, zimny pot oblał jej czoło: zdawało się jej, że go poznaje... Ale nie, było to tylko okrutne złudzenie. Salę słabo oświetały pochodnie, a ludzie poruszali się w niej, jak cienie: zaledwie można było dojrzeć krzyż z Chrystusem, wznoszący się po nad fotelem prezesa sądu.

Jednak młody obwiniony odziany był płaszczem, który zdaleka zdawał się być zielonego koloru, jego włosy były ciemne, a zabłąkany promień światła nagle oświecił jego rysy... Ale nie, to nieprawda! To tylko straszliwe złudzenie.

Obwinieni siedzieli na ławce, na której przedtem usiadł biskup. Schumacker zajmował jeden koniec ławki; od młodzieńca z ciemnymi włosami oddzielali go czterej towarzysze nieszczęścia w pospolitych ubio-



rach, pomiędzy którymi znajdował się prawdziwy olbrzym; biskup siedział na drugim końcu ławki.

Ethel spostrzegła, że prezydujący zwrócił się do jej ojca.

— Obwiniony — rzekł surowo — wymień nam twoje nazwisko, powiedz, kto jesteś.

Starzec podniósł swą osiwiąłą głowę.

— Kiedyś — odpowiedział, utkwwszy w prezydującego dumne spojrzenie — nazywano mnie hrabią Griffenfeld i Tongsberg, księciem Wollin, księciem Cesarstwa Rzymskiego, kawalerem królewskich orderów Słonia, Danebroga, kawalerem Złotego Runa i Podwiązki, pierwszym ministrem, jeneralnym inspektorem uniwersytetów, wielkim kanclerzem Danii i...

— Obwiniony — przerwał prezes — trybunał nie zapytuje się ani o to, jak cię nazywano, ani czem byłeś, lecz jak się teraz nazywasz i czem jesteś?

— Teraz — odparł żywo starzec — nazywam się Jan Schumacker i jestem niczem, tylko twoim dawnym dobroczyńcą, kanclerzu Ahlefeld.

Prezydujący osłupiał.

— Poznałem cię, panie hrabio — dodał były kanclerz — a ponieważ zauważyłem, że ty mnie nie poznajesz, przeto ośmieliłem przypomnieć waszej łasce, że jesteście starzy znajomi.

— Mości Schumacker — rzekł prezydujący głosem, w którym czuć było gniew hamowany — oszczędzaj drogich chwil trybunału.

Stary więzień przerwał mu znowu:

— Zamieniliśmy role, szlachetny kanclerzu, ja to

dawniej nazywałem cię prosto *Ahlefeld*, a ty mówiłeś mi *panie hrabio*.

— Obwiniony! — krzyknął prezydujący — szkodziś swojej sprawie, przypominając hańbiący wyrok, jakim już zostałeś dotknięty.

— Jeśli ten wyrok przynosi komu hańbę, to pewno nie mnie, hrabio Ahlefeld.

Mówiąc to, starzec napół się podniósł. Prezydujący dał mu znak ręką.

— Siadaj. Nie znieważaj, wobec trybunału, sędziów, którzy cię skazali i króla, co tych sędziów wyznaczył. Przypomnij sobie, że jego królewska mość raczył darować ci życie i poprzestań tutaj na obronie.

Schumacker za odpowiedź poruszył ramionami.

— Czy masz co wyjawić przed trybunałem w sprawie zbrodni, o jaką jesteś obwiniony?

Widząc, że Schumacker milczy, prezydujący powtórzył pytanie.

— Czy to do mnie mówisz? — rzekł nareszcie były wielki kanclerz. — Sądziłem dotąd, szlachetny hrabio Ahlefeld, że mówiłeś do siebie. O jakiej to wspominasz zbrodni? Czy dałem kiedy pocałunek Iskaryoty przyjacielowi? Czy uwięziłem, potępiłem i zbyszczęściłem dobroczyńcę, lub obdarłem tego, któremu wszystko winienem? Nie wiem doprawdy, mości kanclerzu, po co mnie tu sprowadzono. Zapewne, abym podziwiał twą zręczność w strącaniu głów niewinnych. Chętnie wistocie przekonam się, czy potrafisz tak łatwo zgubić mnie, jak gubisz królestwo, i czy wystarczy jeden przecinek, aby spowodować śmierć moją, jak



dostateczną była dla ciebie litera alfabetu, aby wywołać wojnę ze Szwecją<sup>1)</sup>.

Zaledwie starzec wypowiedział gorzkie swoje szyderstwo, kiedy urzędnik, siedzący po lewej stronie sądowego stołu, powstał.

— Panie prezesie i panowie sędziowie — rzekł skłoniwszy się głęboko — upraszam o zabronienie mówienia obwinionemu Schumackerowi, jeśli nadal będzie ubliżał jego łasce, prezesowi szanownego trybunału.

W tej chwili odezwał się spokojny głos biskupa:

— Panie sekretarzu tajny, nie można obwinionemu wzbraniać mówienia.

— Dostojny ksiądz biskup ma zupełną słuszość — zawołał prezes z pośpiechem. — Pragniemy pozostawić obwinionym jak najobszerniejsze pole dla obrony. Wzywam tylko obwinionego, aby miarkował się w tem, co mówi, jeżeli rozumie własny swój interes.

Schumacker poruszył głowę i rzekł zimno:

— Widać, że hrabia Ahlefeld pewniejszym jest sobie teraz, aniżeli w roku 1677.

— Proszę milczeć! — zawołał szorstko prezes, po-

<sup>1)</sup> Pomiędzy Danią a Szwecją zaszły w rzeczy samej poważne nieporozumienia z tego powodu, że hrabia Ahlefeld wymagał zawarcia pomiędzy obu temi państwami traktatu, któryby przyznał królowi Danii tytuł *rex Gothorum*, co zdawałoby się nadawać monarsze duńskiemu prawo władania Ghotią, prowincją szwedzką; Szwedzi zaś przyznali mu tylko tytuł *rex Gotorum*, to jest taki, jakiego dawniej używali monarchowie duńscy, *królowie Gotów*. Do tej litery *h*, która była powodem, wprowadzić nie wojny, lecz długich i burzliwych układów, Schumacker zrobił powyższą aluzję.

czem zwracając się nagle do obwinionego, siedzącego obok starca, zapytał o jego nazwisko.

Był to górzał kolosalnego wzrostu z obwiązaną głową, który, powstawszy, rzekł:

— Jestem Han z Klipstadur, z Islandyi.

Szmer przerażenia rozległ się w tłumie, a Schumacker, podniósłszy swą głowę, spojrział bystro na straszliwego sąsiada, od którego wszyscy współobwinieni trzymali się w pewnej odległości.

— Hanie z Islandyi — zapytał prezydujący — co masz sądowi do powiedzenia?

Ethelę niemniej od innych zaciekawiała obecność słynnego rozbójnika, którego oddawna widywała w chwilach bojaźliwych przywidzeń. Z trwożliwą przeto chciwością spojrzała na potwornego olbrzyma, z którym jej Ordener zapewne walczył — i którego, być może, stał się ofiarą. Myśl ta boleśnie wstrząsnęła jej sercem i dlatego, pogrążona w mnóstwie rozdzierających wspomnień, niezbyt zważała na odpowiedź Hana z Islandyi. Słyszała tylko, że rozbójnik uznał się za przywódcę band buntowniczych.

— I czy to sam z siebie — badał prezydujący — czy też z postronnej namowy, przyjąłeś dowództwo nad powstańcami?

— Wskutek namowy — odparł rozbójnik.

— A któż popchnął cię do tej zbrodni?

— Jakiś człowiek nazwiskiem Hacket.

— Któż to był ten Hacket?

— Agent Schumackera, którego nazywał także hrabią Griffenfeld.

Prezydujący zwrócił się do Schumackera.



— Obwiniony — rzekł — czy znasz tego Hacketa?

— Uprowadziłeś mnie, hrabio Ahlefeld — odpowiedział starzec — ja chciałem to samo zadać ci pytanie.

— Obwiniony Schumacker, źle czynisz kierując się tylko nienawiścią. Trybunał sposób twej obrony weźmie pod uwagę.

— Panie tajny sekretarzu — odezwał się biskup do człowieka niskiego wzrostu, który zdawał się pełnić obowiązki pisarza i oskarżyciela — czy ten Hacket znajduje się w liczbie moich oskarżonych?

— Nie, wasza ekscelencjo — odpowiedział sekretarz.

— A czy wiadomo, co się z nim stało?

— Nie zdołano go uchwycić, umknął zapewne.

Kiedy tajny sekretarz mówił, zdawało się, że się stara głos swój odmienić.

— Ja myślę, że znikł zupełnie — rzekł Schumacker.

— Panie sekretarzu — pytał dalej biskup — czy kazało się ścigać tego Hacketa? Czy jest jego rysopis?

Zanim tajny sekretarz zdołał odpowiedzieć, jeden z obwinionych powstał; był to młody górnik z twarzą surową i dumną.

— Można go mieć z łatwością — rzekł silnym głosem. — Nędzny Hacket, agent Schumackera, jest to człowiek małego wzrostu, z twarzą okrągłą i niby dobroduszną, ale w tej dobrodusznosci czuć było coś piekielnego. A jego głos, książe biskupie, bardzo jest podobny do głosu tego pana, co to pisze przy stole, a którego wasza ekscelencjo nazywasz, jak mi się zda-

je, tajnym sekretarzem. Nawet, gdyby ta sala mniej była ciemna, a panu tajnemu sekretarzowi włosy nie zakrywały twarzy, powiedziałbym, że w jego rysach jest dużo podobieństwa do tego zdrajcy Hacketa.

— Nasz brat mówi prawdę! — zawołali dwaj sąsiedzi młodego górnika.

— Wybornie! — szepnął tryumfująco Schumacker.

Sekretarz niespokojnie się poruszył, czy to z obawy, czy też z oburzenia, usłyszawszy, że znaleziono w nim podobieństwo do Hacketa. Prezydujący, który również zdawał się być zmieszany, spiesznie przemówił:

— Obwinieni nie zapominajcie, że macie mówić wtedy tylko, kiedy was trybunał zapytuje; a nade wszystko nie ubliżajcie sługom sprawiedliwości przez niegodne porównania.

— Ależ panie prezesie — rzekł biskup — idzie tu tylko o rysopis. Jeśli występny Hacket jest nieco podobny do sekretarza, to mogłoby być użytecznym...

— Obwiniony Hanie — przerwał prezydujący — ty, co miałeś tyle stosunków z Hacketem, powiedz nam, aby zadowolić księdza biskupa, czy człowiek ten rzeczywiście jest podobny do naszego szanownego sekretarza?

— Wcale nie — odparł olbrzym bez wahania.

— A co, książe biskupie? — dodał prezydujący.

Biskup skinął głową na znak, że więcej tymczasem nie wymaga, prezydujący zaś, zwróciwszy się do innego z obwinionych, zadał mu zwykłe pytanie:

— Jak się nazywasz?

— Wilfryd Kennybol z gór Kole.



— Czy należałeś do rokoszan?

— Tak jest, panie; bo prawda więcej warta aniżeli życie. Zostałem wzięty w przeklętych wąwozach Czarnego Słupa. Byłem dowódcą górali.

— A co cię popchnęło do buntu?

— Nasi bracia górnicy narzekali na opiekę królewską, a to bardzo proste, nieprawdaz, wasza łaskawość? Gdybyś pan miał tylko lepiankę z błota i dwie nędzne skóry lisie, to jednak chciałbyś być tych rzeczy zupełnym panem. Rząd nie wysłuchał ich prośb. Wówczas pomyśleli o buncie i prosili nas o pomoc. Takiej małej przysługi nie odmawia się ludziom, co jednakie z nami mówią pacierze i obchodzą te same święta. Oto i wszystko.

— A czy nikt — badał prezydujący — nie podburzał was, nie zachęcał i nie kierował waszem powstaniem?

— Jakiś Hacket mówił nam ciągle o uwolnieniu hrabiego, uwięzionego w Munckholm, przez którego miał być do nas przysłany. Myśmy mu to przyrzekli, ponieważ wolność dla kogoś jeszcze więcej nie nam nie przeszkadzała.

— A ten hrabia nazywał się Schumacker albo Griffenfeld?

— Tak jest, wasza łaskawości.

— Czyś go nigdy nie widział?

— Nigdy. Ale jeśli to jest ten starzec, który przed chwilą tyle panu nazwisk wymienił, to muszę przyznać...

— Że co? — przerwał z pośpiechem prezydujący.

— Że ma bardzo piękną siwą brodę, prawie tak

piękną, jak miał ojciec męża mojej siostry Maase, z miasta Surb, który żył sto dwadzieścia lat.

Panująca w sali ciemność nie pozwoliła dojrzeć niezadowolenia prezesa z naiwnej odpowiedzi górala. Rozkazał teraz łucznikom rozwinąć kilka ognistych chorągwi, które leżały przed stołem sądu.

— Obwiniony Wilfrydzie Kennybol — rzekł — czy poznajesz te chorągwie?

— Tak jest, wasza łaskawości; dał je nam pan Hacket w imieniu hrabiego Schumackera. Hrabia kazał również rozdać broń górnikom, bo my, górale, co żyjemy z łowów, wcaleśmy jej nie potrzebowali. Ja zaś, którego tu pan widzisz związanego, gdyby nędzną kure, przeznaczoną na upieczenie, nieraz, w głębi naszych dolin, trafiałem starych orłów, kiedy w najwyższym swym locie zdawały się być tak wielkimi, jak skowronki lub drozdy.

— Czy panowie sędziowie słyszą — zauważył sekretarz tajny — że obwiniony Schumacker przez Hacketa rozdał buntownikom broń i sztandary?

— Kennybolu — przerwał mu prezydujący — czy nie masz nic więcej do zeznania?

— Nic, wasza łaskawości, chyba to, że doprawdy na śmierć nie zasługuję. Toć ja tylko, jako dobry brat dałem pomoc górnikom, a mogę śmiało upewnić, że odów mego karabina, jakkolwiek już jestem stary myśliwy, nie dotknął nigdy królewskiego daniela.

Prezydujący, nie odpowiadając na obronę Kennybola, zaczął badać dwóch jego towarzyszków. Byli to dowódcy górników. Starszy z nich, oznajmiwszy, że się nazywa Jonasz, powtórzył, w odmiennych tylko



słowach, zeznanie Kennybola. Drugi, młody górnik, którego oczy dostrzegły tyle podobieństwa między sekretarzem tajnym a zradzieckim Hacketem, powiedział, że się nazywa Norbith, przyznał się do uczestnictwa w buncie, nie chciał jednak wyjawić nic, co dotyczyło Hacketa i Schumackera. Mówił, że na zachowanie tajemnicy wykonał przysięgę i o niczem więcej nie pamięta, tylko o tej przysiędze. Napróżno prezydujący używał gróźb i perswazyi, uparty młodzieniec nie dał się nakłonić do zwierzeń. Zapewnił zresztą, że powstał nie dla Schumackera, ale jedynie dlatego, że jego matka cierpiała głód i zimno. Nie przeczył wcale, że na śmierć zasłużył, dodał jednak, że skazanie go byłoby niesprawiedliwością, ponieważ zabijając go, zabiliby i jego starą matkę, która na to wcale nie zasłużyła.

Skoro Norbith przestał mówić, tajny sekretarz powtórzył w kilku słowach zarzuty, jakie do tej chwili ciężyły na obwinionych, a szczególnie na Schumackerze. Przeczytał także kilka buntowniczych napisów na chorągwiach i wskazał na jednomyślność odpowiedzi wszystkich współników co do byłego wielkiego kanclerza, podciągając w to nawet i milczenie młodego Norbitha, związanego fanatyczną przysięgą.

— Teraz do zbadania — dodał w końcu — jeden nam tylko pozostał obwiniony, a mamy ważne powody uważać go za ajenta władzy, która tak niedołążnie czuwała nad spokojnością Drontheimhuusu. Władza ta ułatwiła, jeżeli nie przez występne porozumienie, to przynajmniej przez fatalne niedbalstwo, wybuch buntu, który zgubi wszystkich tych nieszczęśliwych,

a Schumackera powtórnie wtrąci na szafot, z którego już raz go łaskawość króla sprowadziła.

Ethel zadrżała na te złowieszcze słowa; z jej oczu łzy popłynęły strumieniem, zwłaszcza, gdy ojciec jej powstał i zapytał spokojnie:

— Kanclerzu Ablefeld, podziwiam to wszystko. A czy kazałeś sprowadzić kata?

Nieszczęśliwa dziewczeczka sądziła wtedy, że się już przepęlniła czara jej boleści. Myliła się wszakże.

Powstał szósty obwiniony; pełen szlachetności i dumy, odgarnął włosy, które mu twarz zakrywały, a na zapytanie prezesa, odpowiedział głosem pewnym i wyniosłym:

— Jestem Ordener Guldenlew, baron Thorvick, kawaler Danebroga.

Z piersi sekretarza wyrwał się okrzyk:

— Syn vicekróla!

— Syn vicekróla! — powtórzyli wszyscy ze zdumieniem.

Prezydujący cofnął się ze swoim krzesłem; sędziowie, nawet najbardziej dotąd nieporuszeni, nachylali się w nieładzie jeden do drugiego, jak drzewa miotane dwoma przeciwnymi sobie wiatrami. Wśród publiczności jeszcze większe ujawniło się poruszenie: wdzierano się na kamienne gzemsy i żelazne kraty; tłum cały mówił jakby jednym głosem, a straż, zamiast znać do milczenia, okrzykami zadziwienia zwiększała zamęt ogólny.

Nawet serce, przywykłe do nagłych wzruszeń w życiu, nie potrafi pojąć, co się działo w sercu Etheli. Niepodobna opisać tej mieszaniny rozdzierającej ra-



dości i rozkosznej boleści, tego niespokojnego oczekiwania, które zarazem zdawało się być trwogą i nadzieją, a nie było ani jedną ani drugą. On był przed nią, a ona nie była z nim razem. Widziała go, a on nie mógł jej zobaczyć! To był jej ukochany Ordener, którego miała za umarłego, za straconego dla siebie; to był jej kochanek niewierny, którego jednak uwielbiała jakby nowem uwielbieniem. On był tam: tak, on był tam. Nie było to senne złudzenie; to był on, Ordener, o którym częściej marzyła, aniżeli go widzieć mogła! Ale czy się zjawił w tych murach jako anioł zbawiciel, czy też jak geniusz zguby? Czy powinna była mu ufać, czy też obawiać się go? Tysiące przypuszczeń stawało w jej myślach i zaciemniało je jak płomień, który gaśnie, zbyt wiele dla siebie znajdując żywiołu. Wszystkie te myśli, wszystkie wrażenia przebiegły przez jej umysł, jak błyskawica, w chwili, kiedy syn wicekróla Norwegii wymienił swoje nazwisko.

Poznała go pierwsza, a jeszcze go inni poznać nie zdołali, kiedy zemdląca. Wkrótce jednak, dzięki staraniom tajemniczej nieznajomej, powtórnie przysłała do siebie. Błąda, otworzyła oczy, z których łzy już płynąć przestały. Rzuciła na młodzieńca, pełnego spokoju pośród ogólnego zamieszania, jedno z tych spojrzeń, które obejmują całą istotę, a nawet jeszcze wtedy, kiedy ustał zamęt między sędziami i publicznością, imię Ordenera Guldenew brzmiało w jej uszach. Zauważyła z bolesnym niepokojem, że jedno jego ramię było otoczone przepaską, ręce zaś okute w kajdany; zauważyła, że płaszcz jego w wielu miejscach był rozdarty, a wierna szabla nie wisała u jego pasa. Nie

nie ukryło się przed jej badawczym spojrzeniem gdyż oko kochanki posiada spostrzegawczość oka matki. Otoczyła całą swą duszą tego, którego ciałem nie mogła osłonić; a trzeba wyznać na wstyd i chwałę miłości, że w sali tej, w której znajdował się jej ojciec i jego prześladowcy, Ethel widziała jednego tylko człowieka...

Zwolna wszystko się uciszyło. Prezydujący uważał za właściwe rozpocząć badanie syna wicekróla.

— Panie baronie — rzekł drżącym głosem.

— Nie jestem tutaj baronem — odparł z godnością Ordener — nazywam się Ordener Guldenew, jak ten, który kiedyś był hrabią Griffenfeld, a dziś nazywa się tylko Janem Schumacker.

Prezydujący milczał przez chwilę ośłupiały.

— Dobrze więc! — rzekł nareszcie. — Ordenerze Guldenew, zapewne nieszczęśliwym trafem stawiono cię tutaj przed nami. Buntownicy musieli cię schwytać podczas podróży i zmusić, abysz szedł z nimi; w ten sposób bezwątpienia, znaleziono cię w ich szeregach.

— Szlachetni sędziowie—odezwał się sekretarz— samo imię syna wicekróla Norwegii jest dostateczną dla niego obroną. Baron Ordener Guldenew nie może być buntownikiem. Nasz dostojny prezes doskonale wytłumaczył jego niefortunne zaareztowanie w liczbie powstańców. Jedyną jest winą szlachetnego więźnia, że wcześniej nie wymienił swego nazwiska. Żądamy więc, aby natychmiast został uwolniony, odrzucając wszelkie względem niego obwinienia i bolejąc przytem, że siedział na ławie, skalanej przez występного Schumackera i jego współników.

— Co pan mówisz?! — zawołał Ordener.



— Sekretarz tajny — rzekł prezes — żąda zaniechania wszelkiego śledztwa względem pańskiej osoby.

— Bardzo źle czyni — odparł Ordener głosem wyniosłym i dźwięcznym — ja bowiem sam tylko powinienem być tutaj oskarżonym, sądzonym i skazanym, ponieważ sam tylko jestem winowajcą.

— Sam tylko jest winowajcą! — zawołał prezes.

— Sam tylko winowajcą! — powtórzył sekretarz.

Nowe zdumienie ogarnęło wszystkich. Ethel zadrdzała; nie zastanowiła się nawet, że zeznanie to ocalało jej ojca. Widziała tylko śmierć grożącą ukochanemu.

— Halabardziści, wezwać, aby się uciszono! — zawołał prezes, korzystając z chwili hałasu, iżby przyjść do siebie i zebrać myśli.

— Ordenerze Guldenew — mówił potem — chciej się wytłumaczyć.

Młodzieniec stał przez chwilę zamyślony, wreszcie westchnął i głosem stanowczym, spokojnym wypowiedział:

— Wiem, że mnie śmierć hańbiąca czeka; wiem, że życie moje mogłoby być piękne i pełne sławy. Ale Bóg czytać będzie w głębi mojej duszy — doprawdy, że Bóg tylko jeden! Spełnię pierwszy obowiązek mojego życia; poświęcę dla niego swoją krew, a może i cześć także; czuję jednak, że umrę bez żalu i bez wyrzutów. Niechaj moje słowa nie dziwią was, sędziowie; są bowiem w duszy i przeznaczeniu człowieka tajemnice dla was niezbadane, które niebo tylko sądzić może. Słuchajcie mnie więc, a jak tylko uwolnicie tych nieszczęśliwych, nadewszystko zaś godnego litości

Schumackera, który już w swem więzieniu więcej odpokutował zbrodni, aniżeli ich jeden człowiek popełnić zdoła, wtedy postąpcie ze mną według waszego sumienia. O, tak sędziowie, ja tylko sam jestem winien, Schumacker jest niewinny; ci nieszczęśliwi są tylko zbłąkani. Sprawcą buntu górników jestem ja.

— Pan?! — zawołał dziwnym głosem prezes i sekretarz tajny.

— Ja! Nie przerywajcie mi, panowie. Chcę skończyć jak najprędzej, ponieważ obwiniając się, usprawiedliwiam tych nieszczęśliwych. Ja to, w imię Schumackera, zbuntowałem górników; ja kazałem rozdać im sztandary; ja nareszcie, w imieniu munckholmskiego więźnia, przysłałem im złoto i broń. Hacket był moim agentem.

Usłyszawszy nazwisko Hacketa, sekretarz tajny poruszył się zdumiony. Ordener zaś mówił dalej:

— Oszczędzam waszych chwil, panowie. Zostałem ujęty w szeregi górników, których popchnąłem do buntu. Sam jestem sprawcą tego wszystkiego. A teraz sądzcie. Jeżeli dowiodłem mojej zbrodni, dowiodłem również niewinności Schumackera i tych biedaków, których uważacie za jego współników.

Mówiąc to, młody człowiek wznosił oczy ku niebu. Ethel, bez życia prawie, oddychała z trudnością; zdawało się jej tylko, że Ordener usprawiedliwiając ojca, w duszy wymawiał z goryczą jej imię. Mowa jego zdumiewała ją i przestraszała, chociaż jej zrozumieć nie mogła. Ze wszystkiego, co uderzało o jej uszy, pojmowała jasno samo tylko nieszczęście.

Podobne uczucie zdawało się przejmować i przydującego. Moznaby powiedzieć, że nie chciał uwie-



rzyć w to, co słyszał własnymi uszami. Zwrócił jednak do syna wice-króla następujące słowa:

— Jeśli pan rzeczywiście jesteś jedynym sprawcą buntu, to w jakimż celu go wywołałeś?

— Tego nie mogę powiedzieć.

Zimny dreszcz przejął Ethelę, kiedy prezydujący prawie z gniewem zapytał znowu:

— Czy nie miałaś pan miłośnej intrygi z córką Schumackera?

Ordener postąpił ku trybunałowi i zawołał z oburzeniem:

— Kanclerzu Ahlefeld, poprzestań na tem, że ci oddaję moje życie, a szanuj szlachetną i niewinną dziewczę. Nie próbuj shańbić ją powtórnie.

Biedna Ethel czuła, że cała krew na twarz jej występuje; nie mogła jednak pojąć, co znaczyło słowo *powtórnie*, które jej obrońca ze szczególną wymową energią; z gniewu, który malował się na twarzy prezydującego, było widocznem, że on zrozumiał je dokładnie.

— Ordenerze Guldenew — rzekł — sam nie zapominaj o szacunku, jaki winienesz sprawiedliwości króla i jego najwyższemu urzędnikom. Upominam pana w imieniu trybunału. A teraz wzywam powtórnie, abyś wyznał, w jakim celu dopuściłeś się zbrodni, o którą się obwiniasz.

— Powtarzam, że tego powiedzieć nie mogę.

— Wszak to — zapytał sekretarz — dla uwolnienia Schumackera?

Ordener milczał.

— Obwiniony Ordenerze, nie bądźże niemym —

rzekł prezes — dowiedzionem jest, że zostawałeś w porozumieniu z Schumackerem, wyznanie zaś twojej winy nietylko nie usprawiedliwia, ale potępia raczej munckholmskiego więźnia. Bywałeś często w Munckholm, a z wizytami temi musiało się coś więcej łączyć oprócz zwyczajnej ciekawości. Ta oto spinka dyamentowa świadczy o tem.

Mówiąc to, prezes wziął ze stołu i pokazał Ordenerowi błyszczącą spinke.

— Czy przyznajesz, że do ciebie należała?

— Tak jest. Ależ jakimże trafem?...

— Jeden z buntowników, przed śmiercią, wręczył ją naszemu sekretarzowi tajnemu, wyznając, że otrzymał ją od pana jako zapłatę za przewiezienie z Drontheimu do munckholmskiej fortecy. Tak jest, panowie sędziowie, zapytuję was, czy podobna zapłata, dana prostemu rybakowi, nie świadczy, jak wiele obwinionemu Ordenerowi Guldenew zależało na przybyciu do więzienia, w którym Schumacker pozostawał?

— To, co jego łaskawość mówi — przerwał Kenybol — zupełną jest prawdą. Poznają tę spinke; toż to historya naszego biednego brata Guldona Stayper.

— Cicho! — przestrzegł go prezes — pozwólmy mówić obwinionemu Ordenerowi Guldenew.

— Nie będę ukrywał — odparł Ordener — że pragnąłem widzieć Schumackera. Ta spinka jednak nie nie oznacza. Nie wolno jest do fortecy wchodzić z kosztownościami, że zaś biedny rybak, który mnie tam przywiózł, podczas drogi narzekał na biedę, rzuciłem mu przeto spinke, której nie mogłem przy sobie zatrzymać...



— Proszę wybaczyć, wasza łaskawości — przerwał sekretarz — ale ten przepis nie stosuje się do syna wicekróla. Mogłeś pan więc...

— Nie chciałem wyznać, kto jestem.

— Dlaczego? — zapytał prezes.

— Tego powiedzieć nie mogę.

— Pańskie stosunki z Schumackarem i jego córką jasno dowodzą, że uwolnienie ich było celem buntu.

Schumacker, który dotychczas pogardliwie tylko ruszał ramionami, po tych słowach powstał.

— Uwolnienie mnie i mojej córki? — zawołał. — Ta piekielna intryga miała i ma za cel potępienie i zgubę moją. Czyż sądzicie, że Ordener przyznałby się do udziału zbrodni, gdyby go nie schwytano w liczbie buntowników? Widzę dobrze, że odziedziczył po swym ojcu jego nienawiść ku mnie. Co zaś do stosunków ze mną i z moją córką, o jakie go podejrzewają, to niech wie ten przeklęty Guldenlew, że i moja córka odziedziczyła po mnie nienawiść dla niego oraz dla całego rodu Guldenlewów i Ahlefeldów!

Ordener westchnął głęboko, a Ethel w duszy zaprzeczyła ojcu, który po wypowiedzeniu słów nienawiści, upadł na ławkę, drżący jeszcze z oburzenia.

— Trybunał to rozsądzi — rzekł prezes.

— Szlachetni sędziowie — przemówił Ordener — słuchajcie mnie. Macie sędzić według sumienia waszego: nie zapominajcie więc, że tylko Ordener Guldenlew jest występny; Schumacker jest niewinny. Ci inni nieszczęśliwi zwiedzeni zostali przez Hacketa, który był moim agentem. Reszty ja sam byłem sprawcą.

— Jego łaskawość mówi prawdę — przerwał Kenybol — on to bowiem podjął się sprowadzić nam sławnego Hana z Islandyi, którego imię bodaj mi nie przyniosło nieszczęścia. Wiem, że ten młody pan był u niego w jaskini Walderhoga z propozycją, aby został naszym dowódcą. Tajemnicę swojego zamiaru powierzył mi we wsi Surb, u mego brata Braala. I co do reszty, młody ten pan mówi także prawdę: zostaliśmy oszukani przez przeklętego Hacketa, a stąd wynika, żeśmy na śmierć nie zasłużyli.

— Panie tajny sekretarzu — rzekł prezes — przesłuchanie sprawy skończone. Jakie są wasze ostateczne wnioski?

Sekretarz powstał, skłonił się kilkakrotnie sędziom, ani na chwilę nie spuszczał oczu z prezydującego. Nakoniec głuchym i posepnym głosem wyrzekł:

— Panie prezesie i szanowni sędziowie! Obwinienie utrzymało się w swej sile. Oskarżony Ordener Guldenlew, który na zawsze przyćmił blask swego chlubnego imienia, zdołał dowieść swej winy, nie wykazując jednak niewinności Schumackera i jego współników: Hana z Islandyi, Wilfryda Kenybola, Jonasza i Norbitha. Żądam więc od sprawiedliwości trybunału, aby wszyscy obwinieni byli uznani za winnych zdrady stanu i obrazy majestatu w pierwszym stopniu.

Głuchy szmer powstał w tłumie. Prezes miał już wypowiedzieć słowa zamykające posiedzenie, kiedy nagle biskup zażądał głosu.

— Szanowni sędziowie — odezwał się — słusznem jest, aby po oskarżeniu wysłuchać i obrony. Pragnąłbym, aby ona lepszego ode mnie miała przedstawiciela,



ja bowiem jestem stary i słaby, nie mam już w sobie innej siły oprócz tej, jaką mnie Bóg natchnąć raczy. Dziwią mnie surowe wnioski pana sekretarza. Nie nie dowodzi zbrodni mojego klienta Schumackera. Nie można mu dowieść żadnego bezpośredniego udziału w powstaniu górników; a ponieważ drugi moim klient, Ordener Guldenlew, przyznaje, że użył imienia Schumackera i że nadto sam jest sprawcą tego karygodnego buntu, wszystkie przeto ciężące na Sahumackerze podejrzenia same przez się upadają. Powinniście go więc uniewinnić. Waszej chrześcijańskiej pobłażliwości polecam również i innych obwinionych, zbłąkanych tylko, jak owce Dobrego Pasterza, a nawet i młodego Ordenera Guldenlewa, który ma zasługę, tak wielką wobec Boga, że wyznał swoją zbrodnię. Pomyślcie o tem, panowie, że jest on jeszcze w tym wieku, kiedy człowiek może się potknąć, a nawet i upaść, a jednak Bóg nie odmówi mu podpory, albo pomocy do podniesienia z upadku. Ordener Guldenlew przeżył za ledwie czwartą część tych lat, jakie ja dźwigam na moich barkach. W sądzie waszym rzućcie na szalę jego młodość i niedoświadczenie, nie odbierajcie mu tego życia, które od Boga tak niedawno otrzymał.

Starzec umilkł — i stanął obok Ordenera, który uśmiechał się tylko, a jednocześnie na wezwanie prezesa, sędziowie powstali i w milczeniu udali się do izby narad.

Podczas gdy sędziowie rozstrzygali losy obwinionych, ci ostatni siedzieli nieruchomie na ławie między dwoma szeregami halabardzistów. Schumacker, zwiśszy głowę na piersi, pograżył się w głębokiej zadumie;

olbrzym rzucał dokoła spojrzenia, w których malowała się pewność siebie; Jonasz i Kennybol, złożywszy ręce, modlili się z cicha; towarzyszy ich, Norbith, od czasu do czasu uderzał nogą o ziemię, albo wstrząsał gwałtownie kajdanami. Pomiędzy nim a biskupem, który czytał Psalmy Pokutne, siedział Ordener z rękami założonemi i oczami wzniesionemi w górę.

Po za nimi rozlegał się gwar tłumu, ośmielonego nieobecnością sądu. Sławny więzień munckholmski, straszliwy szatan z Islandyi, a nadewszystko syn vicekróla, byli przedmiotem gorących rozpraw. Hałas tłumu to słabł, to wzrastał, jak płomień podsycany lub przytłumiany wichrem.

W oczekiwaniu gorączkowem przeszło godzin kilka tak długich, że się aż wszyscy dziwili, iż jedna noc tyle ich liczyć mogła. Od czasu do czasu tłum spoglądał na drzwi od izby obrad, ale nie mógł dojrzeć nic oprócz dwóch żołnierzy z błyszczącemi halabardami, przechadzających się przed fatalnym progiem, podobnych do dwóch widm milczących.

Pochodnie i lampy zaczęły blednąć, a przez wązkie okienka sali wdzierają się już pierwsze promienie porannego brzasku, kiedy otwarły się straszliwe podwoje. Nastąpiło głębokie milczenie, pośród którego słychać było tylko ciężki oddech i głuche poruszenia niecierpliwie oczekującego tłumu.

Sędziowie, wyszedłszy wolnym krokiem z izby obrad, zasiedli na dawnych miejscach, z prezesem swoim na czele.

Sekretarz, który podczas ich nieobecności zdawał się być pograżony w głębokiem rozmyślaniu, skłonił się i zapytał:



— Panie prezesie, jakież wyrok trybunał, sędzacy bez apelacji, wydał w imieniu króla? Jesteśmy gotowi wysłuchać go z religijnem poszanowaniem.

Sędzia, zasiadający z prawej strony prezesa, powstał z pergaminem w ręku.

— Jego łaska, nasz dostojny prezes, znużony długiem posiedzeniem, raczył poruczyć nam, wysokiemu syndykowi Drontheimhuusu, zwyczajnemu prezesowi prześwietnego trybunału, zastąpić go w odczytaniu wyroku, wydanego w imieniu króla. Spełniamy ten zaszczytny, a zarazem przykry obowiązek, zarazem wzywamy słuchaczy, aby zachowali milczenie wobec nieomyślnej sprawiedliwości króla.

Dreszcz mimowolny przebiegł obecnych, a wysoki syndyk czytał poważnym i uroczystym głosem:

— „W imieniu naszego czcigodnego pana i prawnego władcy, Chrystyana króla! Oto wyrok, który my, sędziowie wysokiego trybunału prowincyi Drontheimhuus, wydajemy według naszego sumienia w sprawie Jana Schumackera, Hana z Klipstadur z Islandyi i Ordenera Guldenlewa, barona Thorvick, kawalera Danebroga; wszystkich obwinionych o zdradę stanu i obrazę majestatu w pierwszym stopniu; a przytem Han z Islandyi przekonany jest o liczne zbrodnie, morderstwa, podpalania i rozboje.

1-o Jan Schumacker jest niewinny.

2-o Wilfryd Kenybol, Jonasz i Norbith są winni, ale trybunał ich odpowiedzialność uwzględni, ponieważ byli zbłąkani.

3-o Han z Islandyi jest winny wszystkich zbrodni, jakie mu zarzucają.

4-o Ordener Guldenlew jest winny zdrady stanu i obrazy majestatu w pierwszym stopniu.“

Tu sędzia zatrzymał się, jakby dla zaczerpnięcia tchu, Ordener zaś skierował na niego spojrzenie pełne radości.

— „Janie Schumacker — czytał znowu sędzia — trybunał cię uwalnia i odsyła do twego więzienia; Kenybolu, Jonaszu i Norbicie, trybunał zmienia karę śmierci, na którą zasłużyliście, na dożywotnie więzienie i grzywny po tysiąc talarów królewskich od każdego.

„Hanie z Klipstadur, morderco i podpalaczu, dziś wieczorem będziesz zaprowadzony na Plac Broni w Munkholm i powieszony za szyję aż do nastąpienia śmierci.

„Ordenerze Guldenlew, zdrajco, po odebraniu ci twoich tytułów wobec trybunału, dziś wieczorem zaprowadzony będziesz na to samo miejsce, z pochodnią w ręku, a tam utną ci głowę, ciało twe będzie spalone, popioły rozrzucone na wiatr, a głowa wystawiona na widok publiczny.

„Rozejdźcie się. Taki wyrok wydała sprawiedliwość króla.“

Zaledwie wysoki syndyk skończył czytanie, w sali rozległ się bolesny krzyk, który wstrząsnął obecnymi więcej nawet, niż straszliwa powaga wyroku śmierci; na krzyk ten zbladło na chwilę pogodne czoło skazanego Ordenera.



## XI

Nieszczęście ich zrównało.

*Karol Nodier.*

Stało się więc. Wszystko ma się spełnić, albo raczej już się spełniło. Ocalił ojca tej, którą kocha, ocalił ją samą, zachowując jej opiekę ojcowską. Szlachetny podstęp młodzieńca, w celu uratowania Schumackera, udał się zupełnie; reszta jest już dla niego niczem: ma tylko umrzeć.

Ci, co go uważali za występnego lub szaleńca, niech teraz sądzą tego szlachetnego Ordenera, jak on się sam w duszy sądzi; zamiarem jego, gdy wstępował w szeregi powstańcze, było, albo przeszkodzić Schumackerowi dopuszczenia się zbrodni stanu, albo przynajmniej karę, na jakąby zasłużył, przyjąć na swoje barki.

— Schumacker niewątpliwie jest występny—mówił do siebie — ale z uwagi na jego nieszczęście i niewolę, zbrodnię tę trzeba mu wybaczyć. On tylko żąda swego uwolnienia, stara się o nie nawet przez zbrodnię. Zresztą, cóż się stanie z moją Ethelą, jeśli jej ojca zabiorą? Jeśli jej ojciec zginie na rusztowaniu, nowa hańba spadnie na jej imię, cóż się wtedy stanie z nią, bez opieki, bez pomocy, samą jedną w więzieniu, albo błakającą się pośród nieprzyjaciół?

Myśl ta skłoniła go do poświęcenia się, do ofiary, którą ponosił z radością. Największem bowiem szczęś-

ciem dla kochającej istoty jest poświęcić życie swoje nie tylko dla ocalenia życia, ale dla jednego uśmiechu, jednej lzy przedmiotu swej miłości.

Został zatem ujęty w liczbie buntowników, powleczono go przed sędziów, którzy mieli skazać Schumackera; dopuścił się szlachetnego kłamstwa, został sam skazany, ma umrzeć okrutną śmiercią, ponieść hańbiącą karę, zostawić po sobie pamięć skalaną; ale cóż to wszystko obchodzi bohaterskiego młodzieńca, gdy tym sposobem ocalił ojca swej Etheli?

Teraz, okuty w kajdany, siedzi w wilgotnym lochu, dokąd światło i powietrze wdzierają się za ledwie przez posępne okienka; obok niego leży żywność na ostatnie chwile jego życia — czarny chleb i dzban wody. Jego ręce, nogi i szyję żelazne otaczają obręcz. Każda upływająca godzina więcej mu zabiera życia, aniżeli rok cały innym śmiertelnym. Lecz marzy rozkosznie.

— A może pamięć o mnie nie zginie wraz ze mną, przynajmniej w jednym z serc ludzkich? Może ona za krew moją jedną mi łzę poświęci? Może czasem wspomni z żalem o tym, który jej swe życie przyniósł w ofierze, a w jej dziewiczych marzeniach zjawi się niekiedy postać jej kochanka? Któż wie zresztą, co jest po śmierci? Kto wie, czy dusze, uwolnione z więzów materii, nie mogą czuwać nad drogami sobie duszami, tajemniczo obcować ze swymi towarzyszami uwięzionymi jeszcze i przynosić im w cichości jaką radość z nieba?

Gorzkie wszakże myśli łączyły się z temi rozkosznymi marzeniami. Nienawiść, okazana mu przez Schumackera właśnie w chwili poświęcenia, ciążyła



mu na sercu. Bolesny okrzyk, który usłyszał razem z wyrokiem śmierci, wzruszył go głęboko; on sam tylko poznał ten głos i boleść w nim drgającą odczuł. A przytem, czy już nie zobaczy swojej Etheli? Czy ostatnie jego chwile upłyną w więzieniu, że nie zdoła raz jeszcze dotknąć się drogiej ręki, usłyszeć słodkiego głosu tej, dla której ma umrzeć?

Pograżony był w ponurem rozmyślaniu, które dla umysłu jest tem, czem jest sen dla życia, kiedy nagle skrzypiący łoskot starych ryglów uderzył o jego uszy, gotowe już niejako słuchać melodyi z innego świata, dokąd jego dusza wkrótce miała ulecieć. Ciężkie drzwi jego więzienia otwarły się. Młody skazaniec wstał spokojny i prawie wesoły, sądził bowiem, że to kat przychodzi po niego, a życia swego wyrzekł się już, jak płaszcza, po którym deptał stopami. Omylił się: stanęła na progu więzienia postać biała i wysmukła, podobna do świetlanego zjawiska. Ordener nie wierzył swoim oczom, i zapytywał się w duszy, czyby już był w niebie? To była ona — to była Ethela.

Ona zaś padła na jego skute ramiona, ręce jego zrosiła łzami, które ocierały czarne sploty jej rozrzuconych włosów; całując kajdany skazanego, kaleczyła swe czyste usta. Nic nie mówiła, ale zdawało się, że serce wyrwie się z jej piersi z pierwszym wyrazem, jaki wypowie wśród łkania.

On ucuwał rozkosz niebiańską. Przyciskał Ethelę do swojej piersi, a wszystkie siły ziemi i piekła nie zdołałyby w tej chwili rozerwać rąk, którymi ją obejmował... Oczekiwanie blizkiej śmierci nadawało na-

strój uroczysty jego uniesieniu, tulił ukochaną w swem objęciu, jak gdyby ją już posiadał na całą wieczność.

Nie pytał jej, w jaki sposób dostała się do niego. Była przy nim, mógłże więc myśleć o czem innym? Zresztą nie dziwił się temu. Nie zastanawiał się, w jaki sposób ta młoda dziewczyna, uwieczona, słaba, żyjąca w osamotnieniu, zdołała, pomimo potrójnych drzwi żelaznych i potrójnego szeregu żołnierzy, otworzyć więzienie swoje i jego; to mu się zdawało rzeczą naturalną. Czuł sam do czego miłość jest zdolną.

Po cóż do siebie mówić głosem, jeżeli można przemawiać duszą? Milezeli więc oboje. Są wzruszenia tak święte, że je tylko milcząc wypowiedzieć można.

Dzieweczka wreszcie podniosła głowę, opartą dotąd na silnie bijącym sercu kochanka.

— Ordenerze mój — rzekła — przychodzę cię ocalić...

Słowa te, tak pełne nadziei, z głęboką wypowiedziała goryczą.

Ordener potrząsł głową z uśmiechem.

— Ocalić mnie, Ethelo? Łudzisz się tylko: ucieczka niepodobna.

— Wiem to zbyt dobrze, niestety! Zamek ten pełen jest wojska, a każde drzwi, przez które się przechodzi tutaj, strzegą łucznicy.

Później dodała z wysileniem:

— Przynoszę ci inny sposób ocalenia.

— Próżną jest twoja nadzieja. Nie ludź się daremnie, Ethelo: topór kata za kilka godzin rozproszy te rojenia...



— Ty nie umrzesz, Ordenerze! Odsuń ode mnie tę myśl straszliwą, albo raczej przedstaw ją w całej okropności, aby mi dodać siły do ocalenia cię i spełnienia mej ofiary.

W głosie młodej dziewczycy było coś niedającego się opisać. Ordener spojrział na nią zdziwiony.

— Twej ofiary! Co to ma znaczyć?

Ethel zakryła twarz rękami i łkając wyszeptała:

— O mój Boże!

Słabość ta trwała krótko; otrząsała się z niej niebawem, a oczy jej błyszczały i uśmiechały się usta. Piękną była, jak anioł, który z piekła wstępuje do nieba.

— Słuchaj mnie, Ordenerze. Nie wzniosą dla ciebie rusztowania. Chcąc żyć, masz mi tylko przyrzec, że zaślubisz Ulrykę Ahlefeld...

— Ulrykę Ahlefeld! To imię na twoich ustach, Ethelo?

— Nie przerywaj mi — mówiła dalej ze spokojem męczenniczki, która ostatnią przechodzi torturę — przysłała mnie tutaj hrabina Ahlefeld. Przyrzekają ci wyjednać u króla ulaskawienie, jeżeli w zamian swą rękę ofiarujesz córce wielkiego kanclerza. Przychodzę żądać od ciebie przysięgi, że zaślubisz Ulrykę i że odtąd dla niej żyć będziesz. Poruczono mi to zlecenie w nadziei, że głos mój będzie miał pewien wpływ na ciebie.

— Żegnaj cię, Ethelo — rzekł zimno skazany — wychodząc z więzienia powiedz, aby przysłano tu kata.

Ethel stała przed nim chwilę blada i drżąca; nagle ugięły się jej kolana i padła na ziemię, składając rece.

— Co ja mu zrobiłam? — wyszeptała gasnącym głosem.

Ordener, milcząc, utkwiał spojrzenie w kamienną posadzkę.

— Panie — mówiła, posuwając się na kolanach do niego — nie odpowiadasz mi! Czy już nie chcesz do mnie mówić?... Więc pozostaje mi tylko umrzeć.

W oku Ordenera zabłyśła łza.

— Już mnie nie kochasz, Ethelo?!

— O mój Boże — zawołała biedna, kolana więźnia ściskając — ja go nie Kocham! Mówisz, że cię nie Kocham, Ordenerze? Czy to prawda, żeś ty to powiedział?

— Nie Kochasz mnie już, kiedy mną pogardzasz.

W tej chwili żałował gorzkich słów swoich, tak straszliwie rozzwierającym był głos Etheli, gdy ramiona swoje zarzuciła na jego szyję, wołając przez łzy:

— Przebacz mi, mój Ordenerze, przebacz, jak ja ci przebaczam. Ja miałabym tobą pogardzać? Wielki Boże! czyliż ty nie jesteś mojem szczęściem, moja duma, bożyszczem mojem? Powiedz mi, czy w mowie mojej było co innego, jak nie gorąca miłość i najwyższe dla ciebie uwielbienie? Twoje słowa tak mnie okropnie zraniły, a ja przecież przyszłam tu, aby cię ocalić, Kochanku mój, sama się dla ciebie poświęcając...

— Ty zaś powiedz — rzekł Ordener, łzy Etheli ocierając pocałunkami — czy nie jest dla mnie uchybieniem propozycja, abym okupił życie opuszczeniem mej Etheli, podłem zapomnieniem swych przysięg, ofiarą swej miłości, dla której dzisiaj wszystką krew wylewam?

Długi jęk poprzedził odpowiedź Etheli.



— Słuchaj mnie jeszcze, o mój Ordenerze i nie obwiniaj tak spiesznie. Może mam więcej siły, aniżeli to jest zwykle udziałem biednej kobiety. Z wierzchołka naszej wieży widać, jak na Placu Broni wznoszą dla ciebie rusztowanie. O Ordenerze, ty nie masz pojęcia tej okropnej boleści, jaką sprawia widok powolnego przygotowania śmierci dla tego, w którym się widzi wszystkie radości życia! Hrabina Ahlefeld, z którą byłam razem w sądzie, kiedy czytano wyrok śmierci dla ciebie, przyszła do mnie do wieży, dokąd powróciłam z ojcem. Spytała, czy pragnę cię ocalić i wskazała swój sposób ohydny... Ordenerze mój, trzeba było zniechęcić całą swoją przyszłość, wyrzec się ciebie, stracić cię na zawsze, oddać innej swego Ordenera, całe szczęście opuszczonej Etheli, albo też rzucić się w objęcia śmierci. Kazano mi wybierać nieszczęście, albo śmierć: nie wahałam się wcale...

Ordener ręce tego anioła ucałował z głęboką czcią.

— Ja również się nie waham, Ethelo — rzekł. — Nie przysłałabyś tutaj dla ocalenia mi życia z ofiarowaniem ręki Ulryki Ahlefeld, gdybyś wiedziała, dlaczego umieram.

— Cóż to za tajemnica?...

— Pozwól mi mieć przed tobą tajemnicę, ukochana moja. Chcę umrzeć tak, żebyś nie wiedziała, czy za moją śmierć powinnaś uczuwać dla mnie wdzięczność, czy nienawiść.

— Chcesz umrzeć? Chcesz więc umrzeć? Boże! a więc to prawda! W tej chwili wznoszą rusztowanie, a żadna moc ludzka nie może ocalić mego Ordenera, którego mi zabijają! Rzuć jedno spojrzenie na twoją

niewolnicę, na twą towarzyszkę i przyrzeknij, ukochany mój Ordenerze, że mnie będziesz słuchał bez gniewu. Czy jesteś pewnym — odpowiedz twojej Etheli, jakby samemu Bogu — że nie mógłbyś prowadzić szczęśliwego życia obok tej kobiety, obok tej Ulryki Ahlefeld? Czy jesteś tego pewnym, Ordenerze? Ona musi być piękną, dobrą, cnotliwą. I może więcej warta od tej, dla której umierasz. Nie odwracaj się ode mnie, Ordenerze. Ty jesteś tak szlachetny, tak młody i miałbyś wstąpić na rusztowanie? Zaczyniesz z nią żyć w jakim wspianiem mieście, gdzie nawet nie pomyślisz o tej smutnej wieży; dni twoje będą płynęły spokojnie, bez żadnej o mnie wiadomości; zgadzam się i na to, Ordenerze, że mnie usuniesz ze swego serca, a nawet ze swej pamięci. Ale żyj, zostaw mnie samą, ja to umrzeć powinnam. A jak się dowiem, że jesteś w objęciach innej, nie będę już potrzebowała, abyś się mną zajmował, bo niedługo cierpieć przestanę.

Umilkła, bo łzy głos jej tłumili. W spojrzeniu jej wszakże można było czytać bolesne pragnienie odniesienia zwycięstwa, które ją zabić miało.

— Nie mów mi już o tem, Ethelo — rzekł Ordener. — Niechaj teraz z ust naszych nie wychodzą inne imiona, jak tylko twoje i moje.

— Więc ty -chcesz umrzeć?

— Muszę. Dla ciebie z radością wstąpię na szafot; dla innej do ołtarza szedłbym ze wstrętem. Nie mów już o tem, bo mnie zasmucasz i obrażasz.

— On ma umrzeć, mój Boże! — mówiła Ethel ze łkaniem — i to śmiercią haniebną!

Skazany odpowiedział jej z uśmiechem:



— Wierzaj mi, Ethelo, że w tej śmierci jest dla mnie mniej hańby, aniżeli w życiu, jakie mi proponujesz.

W tej chwili spojrzenie jego napotkało starca w duchownej szacie, który stał w cieniu pod drzwiami więzienia.

— Czego chcesz, ojcze? — zapytał opryskliwie.

— Przyszedłem tutaj z osobą, przysłaną przez hrabinę Ahlefeld i czekałem w milczeniu, dopóki mnie pan nie spostrzeżesz.

W samej rzeczy, Ordener widział tylko Ethełę, ona zaś, zobaczywszy Ordenera, zapomniała o swoim towarzyszu.

— Jestem kapłanem — mówił dalej starzec — i polecono mi...

— Rozumiem — przerwał młodzieniec — jestem gotów...

Pastor zbliżył się do niego.

— Bóg też jest gotów przyjąć cię do swojej chwały, mój synu.

— Twarz wasza, ojcze — rzekł Ordener — nie jest mi obcą. Gdzieś cię widziałem.

Pastor skłonił się.

— I ja cię poznałem, mój synu. Spotkaliśmy się w wieży Vygła. W owym dniu przekonaliśmy się obaj, jak zamierzenia ludzkie są niepewne. Obiecałeś mi ułaskawienie dla moich dwunastu skazanych, ja zaś nie wierzyłem w twoje przyrzeczenie, nie domyślając się, że jesteś synem vicekróla; a ty panie, coś liczył na swoją władzę i znaczenie, i przyrzekł...

Ordener dokończył zdanie, którego Anastazy Munder nie śmiał wypowiedzieć:

— Dziś nie jestem w możności otrzymać ułaskawienia nawet dla samego siebie. Masz słuszność, ojcze. Za mało cenilem przyszłość i zostałem ukarany, przekonawszy się, że jej władza silniejszą jest od mojej.

Pastor głowę zwiesił.

— Bóg jest potężny — rzekł, a po chwili dodał: — Bóg jest dobry.

Ordener zawołał nagle?

— Ojcze, chcę dotrzymać obietnicy, jaką uczyniłem ci w wieży Vygła. Gdy już żyć nie będę, udaj się do Berghen, do mego ojca, vicekróla Norwegii i powiedz mu, że ostatnią łaską, o jaką błagał syn jego, jest ułaskawienie dla twoich dwunastu biedaków. Jestem tego pewny, że nie odmówi.

Łza stoczyła się po licach kapłana.

— Twoją duszę, mój synu, szlachetne muszą wypełniać myśli, skoro możesz jednocześnie odrzucać ułaskawienie dla siebie, a błagać o nie dla innych. Słyszałem bowiem w sądzie twoją odmowę, a choć nie mogę pochwalić nadmiaru namiętności ludzkiej, głęboko nią zostałem wzruszony. Teraz pytam sam siebie: *unde scelus?* Jakim sposobem człowiek, którego możnaby nazwać sprawiedliwym, mógł się skalać zbrodnią, za którą go skazano?

— Nie wyznałem tego temu aniołowi, nie mogę więc i tobie się zwierzyć, mój ojcze. Upewniam cię tylko, że nie popełniłem zbrodni, o którą mnie oskarżono.

— Wytłumacz się, mój synu.



— Nie wymagaj tego, ojcze — odparł młodzieńiec stanowczo. — Pozwól mi zanieść do grobu tę tajemnicę.

— On nie nie winien — wyszeptał do siebie pastor.

Wyjawszy potem z pod sukni czarny krzyż, postawił go na ołtarzu, wykutym z kamienia i ustawionym pod wilgotnym murem więzienia. Obok krzyża umieścił małą lampkę żelazną i otwartą biblię.

— Módl się, mój synu i rozmyślaj. Za kilka godzin powrócę. Córko—dodał, zwracając się do Etheli, która podczas ich rozmowy pogrążona była w myślach — trzeba nam opuścić więźnia. Czas upływa...

Podniosła się promieniejąca i spokojna, a coś jakby niebiańskiego jaśniało w jej spojrzeniu.

— Nie mogę odejść, ojcze, dopóki nie połączysz błogosławieństwem ślubnem Ethelę Schumacker z Ordenerem Guldenlew.

Poczem przemówiła do Ordenera:

— Gdybyś był jeszcze możliwym i wolnym, płakałabym wtedy i odłączyła swój los nieszczęsny od twego. Ale dziś, kiedy już nie lękasz się zetknięcia z mojem nieszczęściem; kiedy jesteś, jak ja, uwięziony, osłabiony, uciśnięty; kiedy masz umierać: dziś przychodzę do ciebie w nadziei, że zechcesz przynajmniej, Ordenerze, panie mój, pozwolić tej, która nie może być twoją towarzyszką życia, zostać towarzyszką twej śmierci. Bo ty mnie kochasz o tyle chyba, że wątpić nie możesz, iżbym śmierć twoją przeżyć mogła.

Skazany padł do jej nóg i całował kraj jej sukni. Następnie rzekł do pastora:

— Ty, ojcze, zastąpisz nam rodziców i świadków, a więzienie to będzie świątynią. Oto mój pierścień. Pobłogosław nas, ojcze i odezycytaj święte słowa, mające połączyć Ethelę Schumacker z Ordenerem Guldenlew związkiem małżeńskim.

Uklękli oboje przed kapłanem, który na nich patrzył ze zdziwieniem i litością.

— Co wy czynicie, moje dzieci? — zapytał.

— Ojcze — rzekła młoda dziewczica — czas upływa, — Bóg i śmierć na nas czekają.

W życiu naszym napotykałyśmy niekiedy tak silną wolę, że ulegamy jej, jakby pod wpływem nakazu nadprzyrodzonego. Kapłan podniósł oczy w górę i rzekł z westchnieniem:

— Niechaj mi Bóg wybaczy, jeśli moja powolność jest występna! Kochacie się, a niewiele zostaje wam czasu, żeby się kochać na ziemi, nie sądzę więc, abym uchybiał swoim świętym obowiązkom, uprawniając waszą miłość.

Odbyła się słodka ceremonia. Po ostatniem błogosławieństwie kapłana, młodzi podnieśli się z klęczek: byli już małżonkami.

Twarz skazanego jaśniała smętną radością; można by powiedzieć, że zaczął uczuwać gorycz śmierci od czasu, jak poznał szczęśliwość życia. Lica jego ukochanej jaśniały szczytną wielkością i prostotą; niewinna jeszcze dziewczeczka miała już w sobie majestat małżonki.

— Czy nie prawda, Ordenerze mój — mówiła — że teraz jesteśmy szczęśliwi umierając, skoro życie nie mogło nas połączyć? Ty nie wiesz, co zamierzam: oto



usiądę w oknie wieżycy, aby widzieć, jak będziesz wchodził na szafot, a w ten sposób dusze nasze razem ulecą w niebiosy. Gdybym umarła zanim ciebie dotknie topór kata, wtedy poczekam na ciebie. Bo już jesteśmy małżonkami i dziś wieczorem trumna będzie naszym łożem ślubnym.

Ordener przycisnął ją do zbolącej piersi i zdołał tylko wyszeptać słowa, będące treścią całej jego duszy:

— Jesteś moją, Ethelo...

— Dzieci — rzekł kapelan z rozrzewnieniem — pożegnajcie się. Już czas.

Z piersi Etheli wydarł się jęk bolesny, lecz spojrzawszy na ukochanego, odzyskała energię, rzuciła się przed nim na kolana, prosząc kornie:

— Żegnaj, Ordenerze ukochany, panie mój, daj mi swe błogosławieństwo.

Skazaniec spełnił to tkliwe żądanie, poczem odwrócił się, aby pożegnać kapłana. Starzec również ukląkł.

— Co czynisz, mój ojcze? — zapytał zdziwiony Ordener.

— I ja czekam na twe błogosławieństwo, mój synu — rzekł starzec.

Ordener przemówił uroczyście, głęboko wzruszony:

— Niechaj cię niebo błogosławi, ojcze, niechaj zesle na ciebie błogości, jakie modlitwy twoje sprowadzają na tych, nad którymi zbawczą roztaczasz opiekę.

W ponurej celi zaszemrały ostatnie pożegnania i ostatnie pocałunki, a po chwili zagrzytały ciężkie rygle — drzwi żelazne rozłączyły młodych małżonków, których wkrótce śmierć połączyć miała w wieczności.

## XII

— Kto mi Perezla wyda, trupem albo żywcem, temu dam dwa tysiące talarów!

*Calderon.*

— Baronie Voethaun, pułkowniku muszkietierów munckholmskich, który to z żołnierzy, walezących pod twemi rozkazami przy Czarnym Słupie, wziął w niewolę Hana z Islandyi? Wymień nazwisko jego trybunałowi, gdyż należy mu się za to tysiąc talarów królewskich nagrody.

Tak przemówił do pułkownika muszkietierów prezes trybunału.

Sąd wciąż jeszcze zasiadał; według bowiem ówczesnego zwyczaju w Norwegii, sędziowie, wydający wyrok bez apelacyi, nie mogli opuszczać miejsc swoich, dopóki ten wyrok nie zostanie wykonany. Przed nimi stał olbrzym z postronkiem na szyi, na którym wkrótce miał zawisnąć na szubienicy.

Pułkownik, siedzący dotychczas przy stole sekretarza tajnego, powstał, złożył ukłon sędziom i biskupowi, który zasiadł znów na wzniesieniu pod baldachinem, poczem rzekł:



— Panowie sędziowie! Żołnierz, który ujął Hana z Islandyi znajduje się w tej sali. Nazywa się on Toric Belfast i jest drugim muszkietierem mojego pułku.

— Niechże więc się zbliży po przyrzeczoną nagrodę — powtórzył prezes.

Na wezwanie wystąpił z tłumu młody żołnierz, muszkietier.

— Czy ty jesteś Toric Belfast? — zapytał przyzdujący.

— Ja, wasza łasko.

— I to ty schwytałeś Hana z Islandyi?

— Ja, przy pomocy Belzebuba, wasza eksce-lencyo.

Przyniesiono worek z pieniędzmi.

— Poznajesz w tym człowieku Hana z Islandyi? — wskazując na olbrzyma, znów zapytał prezes.

— Znałem wprawdzie lepiej buziaka ślicznej Kati, anizeli Hana z Islandyi, ale jednak klnę się na chwałę Świętego Beiphegora, że jeśli Han rzeczywiście istnieje, to chyba w postaci tego ogromnego dyabła.

— Oto tysiąc talarów, przyrzeczonych przez wysokiego syndyka. Weź je Toricu Belfast — rzekł wówczas prezes.

Żołnierz przystąpił do stołu, gdy nagle z pośród tłumu odezwał się głos:

— Muszkietierze munckholmski, nie ty ująłeś Hana z Islandyi!

— Do wszystkich dyabłów! — zawołał żołnierz, odwracając się w stronę głosu — nie posiadam jeszcze w tej chwili nic, oprócz mojej fajki, przyrzekam jednak

dziesięć tysięcy talarów temu, co to śmiał powiedzieć, jeśli dowiedzie prawdy słów swoich.

I założywszy ręce na piersiach, spoglądał po publiczności wyzywająco.

— No, niechże się pokaże ten, co się odważył zarzucić mi kłamstwo!

— To ja! — odezwał się człowiek małego wzrostu, przeciskając się przez tłum.

Ów nieznajomy odziany był w matę z sitowia i skórę morskiego cielecia, to jest w zwykły strój Grenlandczyków, który tworzył dokoła postaci jego jakby stożkowy dach lepianki rybackiej. Brodę miał czarną, również czarne, gęste włosy, spadając na twarz, zasłaniały ją niemal zupełnie; domyśleć się jednak było można, że rysy jej nie mogły być miłe. Płaszcz otulał go tak szczelnie, że nie widać było rąk ani ramion.

— A! to ty? — rzekł żołnierz, parskając śmiechem. — Więc któż to, według ciebie, mości panie, miał honor ująć dyabelskiego olbrzyma?

— Ja! — odparł mały człowiek chrapliwie.

Baronowi Voethaun dziwna ta istota przypominała zagadkowego człowieka, który go w Skongen zawiadomił o przybyciu powstańców; kanclerz Ahlefeld odgadywał w nim mieszkańca Zwalisk Arbara; sekretarz tajny włościanina z Oelmoe, który mu tak dobrze wskazał kryjówkę Hana z Islandyi. Nie siedząc wszakże przy sobie, nie mogli zwierzyć się wzajem ze swych domysłów.

— Doprawdy? — podchwycił drwiąco muszkietier. — Gdyby nie odzież dwunożnej foki grenlandzkiej, to



sądząc po twoim szatańsko błyszczącym spojrzeniu, wziąłbym cię za śmiesznego karła, który także szukał ze mną kłótni w Spladgeście, temu ze dwa tygodnie. Było to tego dnia właśnie, kiedy przyniesiono tam trupa górnika Gilla Stadt...

— Gilla Stadt! — powtórzył mały człowiek, wstrząsnawszy się dziwnie.

— A tak, Gilla Stadt — potwierdził żołnierz obojętnie — pogardzonego wielbiciela dziewczyny, która była kochanką jednego z moich kolegów i dla której ów głupiec Gill zginął.

— Wszak to wówczas — zapytał ponuro nieznajomy — leżał także w Spladgeście oficer z twojego pułku?

— Tak jest. Dzień ten całe życie pamiętać będę, zapomniałem bowiem w Spladgeście o capstrzyku, a za to, po powrocie do fortecy, o mało nie zostałem zdegradowany. Oficerem tym był kapitan Dispolsen...

Usłyszawszy to nazwisko, tajny sekretarz powstał.

— Dwaj ci ludzie — rzekł — nadużywają cierpliwości sądu. Upraszam przeto pana prezesa, aby przerwał ich gadanie tak niewłaściwą i bezużyteczną.

— Klnę się na honor mojej Kati, że niczego więcej nie pragnę — rzekł Toric Belfast. — Niech tylko wasze łaskawości raczą mi przysądzić tysiąc talarów przyrzeczonych za głowę Hana, ja to bowiem go ująłem.

— Kłamiesz! — zaprzeczył mały człowiek.

Żołnierz sięgnął mimowolnie do boku, szukając szabli.

— Twoje szczęście, hultaju — mruknął — że jesteśmy w przybytku sprawiedliwości, wobec której każdy

żołnierz, nawet muszkietier munckholmskiego pułku, musi być pokornym, jak stary kogut.

— Mnie się należy nagroda — upierał się mały człowiek — gdyż bez mojej pomocy, nie mielibyście tutaj tego, którego nazywacie Hanem z Islandyi.

Żołnierz unosząc się zapewniał, że to właśnie on schwytał Hana z Islandyi i to w chwili, kiedy ten, leżąc raniony na polu bitwy, zaczął otwierać oczy.

— Być może — odparł nieznajomy — żeś ty go ujął, ale ja go powaliłem; gdyby nie ja, nie dostałby się w twoje ręce; tysiąc talarów przeto do mnie należy.

— To fałsz! — zawołał żołnierz — nie ty go powaliłeś, ale jakiś duch, odziany w skóry dzikich zwierząt...

— Ja go powaliłem!

— Kłamstwo wierutne!

Prezydujący wezwał obie strony, aby umilkły; następnie, zapytawszy powtórnie pułkownika Voethaun: czy rzeczywiście Toric Belfast przyprowadził Hana z Islandyi jako jeńca i odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, oświadczył, że nagroda należy do żołnierza.

Słyszając to, mały człowiek zgrzytnął zębami, muszkietier zaś cheiwie wyciągnął rękę po worek.

— Jeszcze chwilę! — zawołał mały człowiek. — Panie prezese, suma ta, według edyktu wysokiego syndyka, należy tylko do tego, kto zdoła ująć Hana z Islandyi.

— No i cóż stąd? — zapytali sędziowie.

— Ten człowiek nie jest Hanem z Islandyi — rzekł nieznajomy, wskazując na olbrzyma.



Szmer zadziwienia rozległ się w sali. Prezes i sekretarz tajny poruszyli się na swoich miejscach.

— Zaiste — powtórzył mały człowiek z mocą — pieniądze nie należą się muszkieterowi przekłętogo munckholmskiego pułku, ponieważ ten człowiek nie jest Hanem z Islandyi!

— Halabardziści — zawołał prezes — wyprowadzić tego szaleńca; widocznie rozum ma zamącony.

— Pozwoli szanowny prezes zrobić sobie uwagę — odezwał się biskup — że odmawiając wysłuchania tego człowieka, kruszymy deskę ocalenia skazanego. Żądam przeto sprawdzenia zarzutu.

— Trybunał spełni żądanie księdza biskupa — zgodził się prezes, a zwróciwszy się do olbrzyma, zapytał: — Zeznałeś, że jesteś Hanem z Islandyi; czy wobec śmierci obstajesz przy tem zeznaniu?

— Tak — odparł skazany — jestem Hanem z Islandyi.

— Czy słyszysz, księżę biskupie?

Mały człowiek krzyknął zapalczywie:

— Kłamiesz, góralu z Kole! Kłamiesz! Nie upieraj się przy nazwisku, które cię przygnębia; pamiętaj, że ci już nieszczęście przyniosło.

— Jestem Hanem z Klipstadur z Islandyi — powtórzył olbrzym z okiem utkwionem w sekretarza tajnego.

Mały człowiek zbliżył się znieścaka do żołnierza, który ciekawie przysłuchiwał się nowej sprzeczce.

— Góralu z Kole — rzekł groźnie — mówią, że Han z Islandyi pije ludzką krew. Pij ją więc, jeśli nim jesteś — oto ją masz!

Mówiąc to, uchylił płaszcz, wysunął dłoń uzbrojoną sztyletem, takowy zatopił w piersi muszkietera, kładąc go trupem na miejscu, drgające zaś i broczące krwią ciało rzucił pod nogi olbrzyma.

Okrzyk przerażenia rozległ się w sali, żołnierze, pilnujący olbrzyma, cofnęli się. Mały człowiek, szybki jak błyskawica, rzucił się na odsłoniętego przez nich górala i nowem pchnięciem sztyletu powalił go na ziemię obok żołnierza. Potem, zrzucając z siebie matę z sitowia, przyprawne włosy i czarną brodę, odsłonił swoją postać muskularną, odzianą w skóry dzikich zwierząt i pokazał twarz ohydną, która więcej jeszcze przerażyła obecnych, aniżeli sztylet krwią zbroczony, którego ostrzem, skalanem przez podwójne morderstwo, wstrząsał przed ich oczyma.

— I cóż sędziowie, gdzie jest Han z Islandyi? — zapytał szydereco.

— Łucznicy, ująć tego powtwora! — zawołał prezes strwożony.

Mały człowiek rzucił sztylet na ziemię.

— Już mi on niepotrzebny — rzekł — gdyż nie widzę tu więcej żołnierzy z munckholmskiego pułku.

Oddał się potem bez oporu w ręce halabardzistów i łuczników, którzy otoczyli go, jakby przeznaczoną do szturmów fortecę.

Ujętego potwora skrepowano i posadzono na ławie oskarżonych, dwie zaś jego ofiary, z których jedna, to jest góral, oddychał jeszcze, wyniesiono z sali.

Niepodobna opisać uczuć przestrawienia i oburzenia, które podczas tej przerażającej tragedii, miały tłumem, strażą i sędziami. Kiedy jednak



rozbójnik, spokojny i obojętny, zasiadł na ławie okarżonych, ciekawość przytłumiła wszelkie inne uczucia, a chęć usłyszenia dalszego ciągu sprawy przywróciła spokój w sali.

Biskup powstał.

— Panowie sędziowie — przemówił.

— Biskupie drontheimski — przerwał mu rozbójnik — jestem Hanem z Islandyi; nie trudź się obroną.

Tajny sekretarz powstał z kolei i zaczął:

— Szlachetny prezesie...

— Sekretarzu tajny — przerwał znów potwór — jestem Hanem z Islandyi; nie trudź się oskarżeniem.

To rzekłszy, obryzganą krwią swych ofiar, obrzucił kolejno dzikiem i śmiałym spojrzeniem sędziów, łuczników i tłum; spojrzenie to budziło mimowolną trwogę, chociaż rzucał je człowiek bezbronny i skrzepowany.

Rozbójnik, trzymając całą salę w głębokim milczeniu, odezwał się:

— Słuchajcie, sędziowie. Nie spodziewajcie się ode mnie rozwlekłej mowy. Jestem szatanem z Klipstadur. Matką moją jest stara Islandya, wyspa wulkanów. Dawniej była ona tylko górą, ale ją spłaszczyla ręka olbrzyma, który, spadając z chmur, oparł się na jej szczycie. Nie potrzebuję wam mówić o sobie; wiecie chyba, że jestem potomkiem Ingolpha Tępicieła i że jego ducha noszę w swoim ciele. Więcej popełniłem morderstw i roznieciłem pożarów, aniżeli wy wszyscy razem wydaliście niesłusznych wyroków. Mamy wspólne tajemnice z kanclerzem Ahlefeld. Wypiąłbym z rozkoszą wszystką krew z waszych żył. Natura

moja to nienawiść dla ludzi; złe im wyrządzać—to moje posłanie. Pułkownikowi muszkietierów munckholmskich, ja to zawiadomiłem cię o marszu górników przez wąwozy Czanego Słupa, wiedząc, że tam mnóstwo zabijesz ludzi; ja to również zmiażdżyłem batalion twojego pułku odłamami skał. Mściłem się za mego syna. Syn mój nie żyje — przychodzę przeto dobrowolnie szukać tutaj śmierci. Dusza Ingolpha ciąży mi, bo ja dzwigam sam jeden i nie mogę jej przelać w mojego potomka. Znudziło mi się żyć, ponieważ nie mogę służyć za przykład i naukę dla mojego następcy. Dostyc piłem krwi ludzkiej, nie mam już pragnienia. Teraz sam się oddaję, abyście moją krew wypili.

Gdy przestał mówić, czas pewien trwało milczenie. Przerwał je biskup, zapytując Hana:

— Synu mój, w jakim celu popełniłeś tyle zbrodni?

Rozbójnik odparł ze śmiechem:

— Klnę ci się, biskupie, na szatana, że nie w celu z bogacenia się, jak to czynił twój kolega, biskup z Broglum<sup>1)</sup>. Jest we mnie coś, co mnie do tego popycha.

— Bóg niezawsze przebywa w sercach swoich sług — rzekł z pokorą świętobliwy starzec. — Chcesz mnie znieważać, a ja pragnąłbym cię bronić.

— Twoja dostojność daremnie się trudzi. Zapytaj zresztą innego z twych kolegów, biskupa ze

<sup>1)</sup> Niektórzy kronikarze utrzymują, że w roku 1525 biskup z Broglum zyskał rozgłos przez rozboje. Podobno utrzymywał piratów, którzy napadali na brzegi Norwegii. Fakt ten wszakże jest bardzo wątpliwy.



Scalhot, w Islandyi. To zabawne, na Ingolpha, że dwóch biskupów mną się zajmowało, jeden przy kołebce, a drugi przy grobie. Ty, biskupie, jesteś stary szaleniec.

— Czy wierzysz w Boga, mój synu?

— Dlaczegooby nie? Chcę nawet, żeby Bóg istniał i żebym mógł Mu bluźnić.

— Upamiętaj się, nieszczęśliwy! Masz wkrótce umrzeć, a nie całujesz stóp Chrystusa!

Han ruszył ramionami.

— Jeśliby to uczynił, to chyba naśladując owego Rolla, który całował stopy króla, aby go obalić.

Biskup usiadł głęboko zasmucony.

— Na cóż czekacie sędziowie? — odezwał się Han. — Gdybym był na waszem miejscu a wy na mojem, to nie kazałbym wam tak długo czekać na wyrok śmierci.

Sędziowie wyszli i po krótkiej naradzie wrócili do sali, a prezydujący donośnym głosem odczytał wyrok, który, podług przyjętej formuły, skazywał Hana z Islandyi „na powieszenie za szyję aż do nastąpienia śmierci“.

— To mi się podoba! — rzekł rozbójnik. — Kancelerzu Ahlefeld tyle wiem rozmaitych rzeczy o tobie, że mógłbym ci to samo wyjednać. Żyj jednak, ponieważ ludziom złe wyrządzasz. Teraz jestem spokojny, że nie pójdę do *Nysthiem*<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Podług wiary, rozpowszechnionej między ludem norweskim, *Nysthiem* było to piekło dla umierających z choroby lub starości.

Sekretarz tajny polecił straży, aby zaprowadziła skazanego do wieży Lwa Szlewskiego, zanim przygotowują dla niego inne więzienie w koszarach muszkieterów munckholmskiego pułku, gdzie miał oczekiwać wykonania wyroku.

— W koszarach muszkieterów munckholmskiego pułku — mruknął do siebie potwór z dziką radością.





### XIII

Często niedocieczone przyczyny naruszają prawidłowy bieg rzeczy.

*Baron Ekstein.*

O wschodzie słońca, tego samego dnia, w którym zaszły opisane wyżej wypadki, właśnie w chwili, kiedy na Ordenera wydawano wyrok śmierci, nowy dozorca Spladgestu w Drontheim, dawny pomocnik a obecnie następca Benignusa Spiagudrego, jednym słowem Ogdypiglap, został niespodzianie zbudzony silnym do drzwi pukaniem. Podniósł się ze swego tapczana niechętnie, wziął lampkę blaszaną, której słabe światło raziło, jego oczy zaspane i przeklinając wilgoć w sali umarłych, poszedł otworzyć tym, co go tak wcześniej ze snu wyrwali.

Byli to rybacy z nad jeziora Sparbo, którzy na noszach, pokrytych sitowiem, wodnemi porostami i szlaczem, dźwigali trupa, znalezionego w wodach jeziora.

Złożyli oni zmarłego w żałobnym budynku, a Ogdypiglap dał im pokwitowanie, aby się mogli zgłosić po zapłatę do urzędu.

Pozostawszy sam w Spladgeście, dozorca zaczął rozbierać trupa, odznaczającego się wzrostem i nie-

zmierną chudością. Najpierw zastanowiła go olbrzymia peruka.

— Zdaje mi się, że ta peruka przechodziła już przez moje ręce. Ach! prawda, toć to tego eleganta Francuza... Ale otóż i buty pocztyliona Cransmera, którego konie zabiły i... cóż to u dyabła może znaczyć? Oto czarny ubiór profesora Syngramtaksa, starego uczonego, co się utopił. Skądże ten umarły może mieć na sobie puściznę po wszystkich moich starych znajomych?

Przysunął lampę do twarzy umarłego, ale nie mógł rozpoznać rysów, zatartych zupełnie wskutek długiego pozostawania w wodzie. Zaczął więc szukać po kieszeniach i wydobył kilka pergaminów, przesiąkniętych wodą i zawalanych błotem, a obtarwszy jeden z nich swoim fartuchem skórzanym, zdołał przeczytać następujące słowa, nie mające ze sobą związku i również nawpół zatarte: „Rudbeck Saksończyk, gramatyk; Arngrim, biskup z Holum. W Norwegii dwa są tylko hrabstwa, Larwig i Jarlsberg, jedna baronia... Kopalnie srebra znajdują się tylko w Konsberg; manganu w Sundmoer, ametystu w Guldranshal, chalcedonu, agatów i jaspisów na wyspach Faroer. W Nookahiva, w czasie głodu, mężczyźni zjadają swe żony i dzieci. Thorinodus Thorfoeus; Isleif, biskup Scalhotii, pierwszy historyk islandzki“.

— Nie śmiem wierzyć swym oczom! — zawołał Ogdypiglap upuszczając pergamin — ale to pismo mego dawnego pana, Benignusa Spiagudrego!..

A na nowo rozpatrując trupa, poznał jego długie



ręce, rzadkie włosy i wreszcie całą postać nieszczęśliwego.

— Nie napróżno — mówił do siebie kiwając głową — podejrzewano go o świętokradztwo i nekromację. Widać dyabeł go porwał i utopił w Sparbo. I któżby to pomyślał, że doktor Spiagudry, który tak długo pilnował umarłych w tej oberży śmierci, sam się do niej dostanie!

Tak filozofując, Laponczyk podniósł już trupa, aby go złożyć na granitowym łożu, gdy nagle spostrzegł, że coś ciężkiego przywiązane było rzemieniem do szyi topielca.

— To pewnie kamień — rzekł — z którym go dyabeł rzucił do jeziora.

Mylił się jednak, była to bowiem niewielka szkatułka żelazna, na której, po bliższem rozpatrzeniu i starannem obtarciu, ujrzął zamek z herbami.

— Musi być coś dyabelskiego w tem pudełku — mruknął do siebie — człowiek ten bowiem był świętokradcą i czarownikiem. Złożmy tę szkatułkę u biskupa: ona może dyabła w sobie zawiera.

I odwiązawszy ją od trupa, którego złożył w sali, udał się z nią pospiesznie do biskupiego pałacu, odmawiając w drodze pacierze, dla zabezpieczenia się od napaści szatana.

#### XIV

Czy to człowiek, czy też duch piekielny przemawia w ten sposób? Jakiż demon złośliwy tak tobą miota? Pokaż mi tego nieubłaganego wroga, który zamieszkuje twoje serce.

*Maturin.*

Han z Islandyi i Schumacker znaleźli się razem w wieżycy Lwa Szlezwiskiego. Uniewinniony były wielki kanclerz przechadzał się zwolna, z gorzkimi w oczach łzami; skazany rozbójnik śmiał się w swych kajdanach, otoczony strażą.

Obaj więźniowie długo na siebie spoglądali w milczeniu; możnaby powiedzieć, że wzajemnie poznają w sobie wrogów wszystkich ludzi.

— Kto ty jesteś? — zapytał nareszcie były kanclerz rozbójnika.

— Powiem ci moje imię — odparł zapytany — aby cię zmusić do ucieczki. Jestem Han z Islandyi.

— Oto moja ręka — rzekł Schumacker, postępując ku niemu.

— Czy chcesz, żebym ją pożarł?



— Hanie z Islandyi — przemówił znów Schumacker — podobasz mi się, ponieważ nienawidzisz ludzi.

— Ty nie stanowisz wyjątku.

— Słuchaj. Nienawidzę ludzi, jak i ty, ponieważ robiłem im dobrze, a oni złem mi płacili.

— W tem się różnisz ode mnie. Ja ich nienawidzę dlatego, że mi czynili dobrze, a ja im złem płaciłem.

Pod spojrzeniem potwora, Schumacker zadrżał. Naprawdę starał się swój wstręt przezwyciężyć, — jego dusza nie mogła sympatyzować z duszą rozbójnika.

— Tak jest — zawołał — nienawidzę ludzi, bo są fałszywi, niewdzięczni, okrutni. Winien im jestem wszystkie nieszczęścia mojego życia.

— A ja im całe moje szczęście zawdzięczam.

— Szczęście? Co nazywasz szczęściem!

— To, że czułem ich ciało drgające pod moim zębem; że ich krwią gorącą rozgrzewałem spragnione gardło; że żyjące istoty z rozkoszą rozbijałem o szczyty skał, słuchając, jak krzyk ofiary łączył się z chrzęstem łamanych członków. Takie to uciechy zawdzięczam ludziom.

Schumacker cofnął się ze strachem i oburzeniem od potwora, do którego przed chwilą zbliżył się prawie z dumą mniemając, że jest do niego podobnym. Teraz, przejęty wstydem, twarz zakrył rękami. Wstydził się teraz samego siebie. Jego serce szlachetne uczuło wstręt do nienawiści, którą tak długo żywił ku ludziom; jej odbicie ujrzał w sercu Hana z Islandyi, jak gdyby w straszliwym zwierciadle.

— I cóż, nieprzyjacielu ludzi — rzekł potwór ze śmiechem — czy się ośmielisz jeszcze chlubić tem, żeś do mnie podobny?

Starzec zadrżał.

— O Boże! — szepnął — wolałbym ich kochać, aniżeli tak ich nienawidzieć, jak ty...

W tej chwili straż przyszła po potwora, aby go zaprowadzić do pewniejszego więzienia. Schumacker, pogrążony w zadumie, pozostał sam w wieży; nie był już jednak wrogiem ludzi.



XV.

Wybiła fatalna godzina; już tylko połowę tarczy słonecznej widać było na horyzoncie. W fortecy munckholmskiej zdwojono strażę; przed każdymi drzwiami przechadzały się placówki milczące i posepne. Do ponurych wieżyc fortecy, niezwykle ożywionych, dolatywał hałaśliwszy, niż zawsze, gwar miejski. Na dziedzińcach rozlegały się odgłosy bębnow kirem okrytych, a od czasu do czasu wstrząsnął powietrzem wystrzał armatni; ciężki dzwon wieżowy kołysał się zwolna wydając poważne i przeciągłe dźwięki, a ze wszystkich punktów portu łódzie, pełne ciekawych, dążyły do straszliwej skały.

Na Placu Broni wznosiło się, wśród czworoboku żołnierzy, rusztowanie czarno obite, około którego cisnął się wzrastający nieustannie tłum ciekawych. Na rusztowaniu przechadzał się człowiek w czerwonym stroju, wspierając się toporem o długiej rękojeści; niekiedy przystawał, aby poprawić pień, stojący na tem żałobnem wzniesieniu. W pobliżu przygotowany był stos, przy którym płonęły pochodnie, nasycone smołą. Między rusztowaniem a stosem stał słup z napisem: „Ordener Guldenlew — zdrajca“. Na szczycie wieży szlezwiskiej powiewała czarna chorągiew.

W owej właśnie chwili, przed zasiadającym wciąż sądem, stawiono raz jeszcze skazanego Ordenera. Bi-

skupa tylko nie było, skończył już bowiem swój obowiązek obrońcy.

Syn vicekróla był czarno ubrany, na szyi miał łańcuch Danebroga. Twarz miał bladą, lecz pełną dumy i godności. Przyszedł sam, gdyż kazano mu udać się na miejsce kaźni zanim kapelan Anastazy Munder wrócił do jego więzienia.

Ordener przygotował się już ostatecznie do spełnienia ofiary; z pewnym jednak żalem myślał o życiu, i wolałby zapewne spędzić noc poślubną inaczej niż w grobie. W więzieniu modlił się a więcej marzył. Teraz stał u kresu wszelkiej modlitwy i marzenia. Czuł się silnym tą mocą, jaką daje Bóg i miłość bez granic.

Tłum, więcej od skazanego wzruszony, pożerał go oczami. Jego znaczenie i los okrutny wzbudzały zdumienie i litość. Nikt nie mógł wytłumaczyć sobie powodu jego zbrodni. W głębi serca ludzi istnieje dziwne uczucie, które ich pociąga zarówno do wesołych, jak i do krwawych widowisk. Z drapieżną pilnością starają się odszukać na zmienionych rysach mającego umierać myśl śmierci, jakby w tej uroczystej chwili w oczach skazanego okazywało się jakieś objawienie nieba albo piekła; patrzą na niego, jakby pragnąc zobaczyć, jaki cień rzuca śmierć, unosząc się ponad ludzką głową, jakby dla zbadania, co zostaje z człowieka, kiedy go już nadzieja opuściła. Wówczas wyobraźnią wstrząsa widok istoty, pełnej siły i zdrowia, która się porusza, oddycha, żyje, a za chwilę poruszać się, oddychać i żyć przestanie; widok istoty, otoczonej podobnemi do siebie istotami, którym nie nie



zawiniła, a które żałują ją wszystkie, a żadna nie niesie jej pomocy; widok nieszczęśliwego, co umiera bez konania, przynięciony siłą materyalną i niewidzialną potęgą. Wówczas, powtarzamy, wstrząsa wyobraźnią to życie, którem społeczeństwo obdarzyć nie może, a które wydziera z całą okazałością, z całą wystawą uprawnionego morderstwa. Dla nas, cośmy wszyscy na śmierć skazani z nieokreślonym terminem, nieszczęśliwy, który wie, że ów termin nadszedł już dla niego, przedstawia widok niezwykle i bolesny.

Wiemy, że Ordenera, przed zaprowadzeniem go na rusztowanie, miano powtórnie stawić przed sądem, dla pozbawienia go tytułów i honorów. Skoro więc uciszyły się szmery w zgromadzeniu, poruszonem przez jego przybycie, natychmiast prezes rozkazał przynieść księgę heraldyczną obojga królestw i statuty orderu Danebrogą, a wezwawszy skazanego, aby ukląkł na jedno kolano i zaleciwszy obecnym, by zachowali milczenie, otworzył księgę kawalerów Danebrogą i zaczął czytać głosem wyniosłym i surowym:

„My Chrystyan, z łaski i miłosierdzia Wszechmonego, król Danii i Norwegii, Wandalów i Gotów, książę Szlezwigu, Holsztynu, Stormaryi i Dytmarsyi, hrabia Oldenburg i Delmenhrst, oznajmiamy, że przywróciwszy, na wniosek naszego wielkiego kanclerza, hrabiego Griffenfelda (tutaj czytającego zaledwie słyszeć było można), order królewski Danebrogą, ustanowiony przez naszego dostojnego przodka, Świętego Waldemara i zważywszy, że order ten ustanowiony został na cześć chorągwi Danebrogą, zesłanej z nieba dla naszego błogosławionego królestwa; że byłoby

uchybieciem dla świętej instytucji orderu, gdyby który z kawalerów mógł bezkarnie przeniwierzyć się względem honoru i świętych praw Kościoła i państwa: rozkazujemy na klęczkach przed Bogiem, każdego z kawalerów orderu, któryby duszę swą oddał szatanowi przez wiarołomstwo lub zdradę, po zgromieniu go publicznie przez sędziego, pozbawić na zawsze stopnia kawalera naszego królewskiego orderu Danebrogą“.

Po odczytaniu tej formuły, prezes zamknął księgę.

— Ordenerze Guldenlew, baronie Thorvick, kawalerze Danebrogą, jesteś winnym zdrady stanu; za tę zbrodnię głowa twoja spadnie na szafocie, ciało twe będzie spalone, a popioły rozrzucone na wiatr. Ordenerze Guldenlew, zdrajco, nie godzien jesteś należeć do liczby kawalerów Danebrogą. Wzywam cię przeto, żebyś się upokorzył, ponieważ w imieniu króla, pozbawię cię publicznie tego zaszczytu.

Mówiąc to, prezes wyciągnął rękę po księgę orderu i przygotował się do wyrzeczenia nad Ordenerem fatalnej formuły, kiedy nagle otwarły się boczne drzwi sądowej sali i wszedł woźny, meldując jego ekscelencyę biskupa Drontheimhuusu.

On to był wistocie. Wszedł spiesźnie do sali, w towarzystwie drugiego duchownego, na którym się wspierał.

— Wstrzymajcie się, panie prezesie! — zawołał z mocą — wstrzymajcie się! Niebu niech będzie chwala, że jeszcze na czas przybywam!

Zgromadzeni poruszyli się, przewidując jakąś nową niespodziankę, prezes zaś odezwał się do biskupa z niecierpliwością:



— Wasza ekscelencya pozwoli sobie uczynić uwagę, że jego obecność jest tutaj bezużyteczną. Sąd właśnie ma odjąć honory skazanemu, który wkrótce poniesie zasłużoną karę.

— Strzeżcie się — rzekł biskup — dotknąć tego który jest czysty wobec Pana. Ten młodzian jest niewinny.

Okrzykiem zdumienia przyjęli to oświadczenie wszyscy obecni, prócz prezesa i sekretarza tajnego, którzy nie mogli się powstrzymać od okrzyku przestachu.

— Tak jest, sędziowie, zadrzyjcie — mówił dalej biskup, zanim jeszcze prezes zdołał przyjść do siebie—bo mieliście przelać krew niewinnego.

Podczas, gdy prezes starał się uspokoić, Ordener powstał z klęczek zmieszany; obawiał się, czy nie odkryto jego szlchetnego podstępu i czy nie znaleziono dowodów przeciw Schumackerowi.

— Książę biskupie — rzekł prezes — powód tej zbrodni zdaje się nam wymykać, przechodząc z jednej głowy na drugą. Niech się wasza ekscelencya nie łudzi próżnym pozorem. Jeżeli Ordener Guldenlew jest niewinny, w takim razie któż jest winowajcą?

— Wasza łaska wkrótce się o tem dowie—odparł biskup, a ukazując sędziom szkatułkę, którą pacholek niósł za nim, dodał: -- Szlchetni panowie, sądziliście pośród ciemności. W tej szkatułce jest cudowne światło; ono tę ciemność rozproszy.

Widok tajemniczej szkatułki żywo zaniepokoił prezesa, sekretarza tajnego i Ordenera. Biskup zaś mówił dalej:

— Chciejcie mnie posłuchać, szlchetni sędziowie.

Dziś, w chwili, kiedy przybyliśmy do naszego pałacu biskupiego, aby odpocząć po trudach nocy i modlić się za skazanymi, oddano nam tę szkatułkę. Przyniósł ją rano do naszego pałacu, jak nam powiedziano, dozorca Spaladgestu, który twierdził, że musiała w sobie zawierać jaką szatańską tajemnicę, ponieważ znaleziono ją przy trupie świętokradcy Benignusa Spiagudrego, wydobytym z jeziora Sparbo.

Ordener podwoił uwagę. Wszyscy obecni słuchali w milczeniu, a prezes i sekretarz pochyliłi głowy, jakby to oni byli skazani. Moznaby powiedzieć, że zapomnieli o swej przebiegłości i odwadze. Są chwile w życiu złych ludzi, w których nikt nie może im zachwalstwo.

— Pobłogosławiwszy tę szkatułkę — mówił znowu biskup — rozbiliśmy zamek, na którym, jak to jeszcze teraz widzieć możecie, był nieistniejący już herb Griffenfeldów. I istotnie znaleźliśmy tam szatańską tajemnicę. Osądzicie to sami, szanowni panowie. Teraz natężcie uwagę, idzie tu bowiem o krew ludzka, a Pan waży każdą jej kropelkę.

Otworzył potem szkatułkę, wydobyl pergamin i przeczytał wypisane na zewnętrznej jego stronie następujące poświadczenie:

„Ja, Blakstam Cumbylus, doktor, zaświadczam w chwili śmierci, że kapitanowi Dispolsen, pełnomownikowi byłego hrabiego Griffenfelda, doręczyłem niniejszy dokument, całkowicie napisany ręką Turiafa Musdoemona, dworzanina kanclerza Ahlefelda, ażeby tenże kapitan zrobił z niego użytek, jaki mu się podo-



ba. Przytem proszę Boga, aby mi przebaczył moje zbrodnie.

W Kopenhadze, 11 stycznia 1699 r.

*Cumbylus*“.

Sekretarz tajny trząsał się konwulsyjnie. Chciał mówić, ale biskup wręczył pergamin blademu i zmieszanemu prezesowi.

— Co ja widzę? — zawołał tenże, rozwijając pergamin. „Nota dla szlchetnego hrabiego Ahlefelda, co do sposobu pozbycia się Schumackera“. Przysięgam, księżę biskupie...

Tu pergamin wypadł z rąk prezesa.

— Czytaj pan dalej — rzekł biskup. — Nie wątpię, że niegodny sługa użył pańskiego imienia do bezcenych celów tak samo, jak użył imienia Schumackera. Ale zważ pan tylko, jakie są skutki nieubłaganej pańskiej nienawiści dla upadłego poprzednika. Jeden z twoich dworzan działał podstępnie na jego zgubę, zapewne w nadziei, że tem zjedna sobie względy waszej łaski.

Słowa biskupa świadczące, że nie podejrzewał on prezesa, uspokoiły tego ostatniego. Ordener również swobodniej odetchnął. Przewidywał teraz, że niewinność ojca Etheli wyjdzie na jaw razem z niewinnością jego. Dziwił go tylko szczególny zbieg okoliczności, a mianowicie, że gdy ściagał straszliwego rozbójnika, aby mu odebrać szkatułkę, jego przewodnik, Benignus Spiagudry, miał ją przy sobie. Szukał tego, co było tuż przy nim. Zastanawiał się również nad głęboką nauką, płynącą z wypadków, które zgubiwszy

go przez tę fatalną szkatułkę, jej także użyły za narzędzie ocalenia.

Prezes, wysilając się na zimną krew, odczytał z dobrze udanem oburzeniem, szczerze podzielanem przez wszystkich słuchaczy, długą notę, w której sekretarz wyjaśniał szczegółowo szatański swój plan. Sekretarz kilkakrotnie chciał się bronić, ale szemranie ogólne zmusiło go do milczenia. Wreszcie prezes skończył czytanie i zawołał, wskazując na swego powiernika:

— Halbardziści, aresztować tego człowieka!

Zgnębiony nędznik opuścił zaszczytne miejsce i zasiadł na hańbiącej ławie oskarżonych.

— Panowie sędziowie — rzekł biskup — zdźrzyjcie i ucieszcie się zarazem! Prawda, którą wam przedstawiłem, poświadczoną jeszcze będzie przez zeznanie obecnego tu kapelana więziennego, Anastazego Munder.

O. Anastazy Munder przybył do sądu wraz z biskupem. Złożył on teraz ukłon swemu pasterzowi oraz sędziom; na znak prezesa, przemówił w te słowa:

— To, co mam powiedzieć, jest świętą prawdą. Niechaj mnie niebo ukarze, jeśli wymówię choć jedno słowo fałszywe! Przedtem już, sądząc z tego com w więzieniu od syna vicekróla słyszał, byłem przekonany, że jest on niewinny, chociaż został skazany wskutek swoich zeznań. Potem wezwano mnie do udzielenia pomocy duchownej nieszczęśliwemu góralowi, tak okrutnie zamordowanemu w waszych oczach, a którego wy, szanowni panowie, skazaliście jako Hana z Islandyi. Otóż umierający tak do mnie przemówił: — Nie je-



stem Hanem z Islandyi; za przybranie jego imienia srodze zostałem ukarany. Za odegranie tej roli zapłacił mi sekretarz tajny wielkiego kanclerstwa. Nazywa się on Musdoemon, który cały ten bunt urządził pod nazwiskiem Hacketa. Zdaje mi się, że on tylko jeden jest tu winny.— Powiedziawszy to, prosił o błogosławieństwo i zalecił mi, abym jego słowa jak najspieszniej powtórzył przed sądem. Bóg jest świadkiem tego, co mówię.

Umilkł i skłonił się powtórnie biskupowi i sędziom.

— Wasza łaska raczy mi przyznać — rzekł biskup — że jeden z moich klientów nie mylił się, znajdując dziwne podobieństwo między owym Hacketem a pańskim sekretarzem tajnym.

— Turiafie Musdoemon — zapytał prezes nowego obwinionego — co masz do przytoczenia na swoją obronę?

Musdoemon rzucił na prezesa spojrzenie pełne znaczenia. Przejęło ono kanclerza dreszczem obawy, a obwinionemu wróciła całą pewnością siebie.

— Nie, panie.

Wówczas prezes odezwał się głosem słabym i drżącym:

— Wyznajesz więc, że jesteś winnym zbrodni, jaką ci zarzucają? Wyznajesz, że byłeś sprawcą spisku przeciw państwu, a jednocześnie przeciw Schumackerowi?

— Tak, panie — odparł Musdoemon.

— Panie prezesie — rzekł biskup wstając — aby uniknąć wszelkiej wątpliwości w tej sprawie, nie-

chaj wasza łaska spyta obwinionego, czy nie miał współników.

— Wspólników! — powtórzył Musdoemon.

Przez chwilę zdawał się zastanawiać. Twarz prezesa pokryła się trupią bladeścią.

— Nie, księżę biskupie — rzekł nakoniec Musdoemon.

Spojrzenia prezesa i obwinionego spotkały się. — nastąpiło znać pomiędzy nimi tajemnicze porozumienie, gdyż Musdoemon dodał, jakby z rezygnacją:

— Tak jest, weale nie miałem współników. Cały ten spiszek ułożyłem przez przywiązanie dla mego pana i zupełnie bez jego wiedzy, aby zgubić jego nieprzyjaciela Schumackera.

— Wasza łaska — odezwał się biskup — raczy teraz przyznać, że baron Ordener Guldenlew zupełnie jest niewinny, skoro Musdoemon nie miał współników.

— Gdyby był niewinnym, księżę biskupie, czyżby się przyznał do zbrodni?

— A dla czegoż to, panie prezesie, góral, narażając swoją głowę, obstawał przy tem, że jest Hanem z Islandyi? Jeden tylko Bóg wie, co się dzieje w głębi serc ludzkich.

— Panowie sędziowie — przemówił Ordener — teraz mogę wam to powiedzieć, skoro prawdziwy zbrodzień został wykryty. Tak jest, obwinilem się fałszywie dla ocalenia byłego kanclerza Schumackera, którego śmierć zostawiłaby jego córkę bez opieki.

Prezes przygryzł wargi.

— Żądamy od trybunału — rzekł biskup — uznania niewinności naszego klienta Ordenera.



Prezes dał znak przyzwalający, a na wniosek wysokiego syndyka, przejrzano starannie szkatułkę, w której znajdowały się jeszcze dyplomy i tytuły Schumackera, wraz z kilku jego listami do kapitana Dispolsena, listami pełnemi goryczy, ale niemającemi w sobie nic występnego, które mogły przejąć obawą tylko kanclerza Ahlefelda.

Sąd wyszedł potem do sąsiedniej sali, a po krótkiej naradzie, prezes odczytał za ledwie dosłyszonym głosem wyrok, skazujący na śmierć Turiafa Musdoemona i uniewinniający Ordenera Guldenlewa, z przywróceniem mu jego honorów, tytułów i przywilejów.

Gdy się to działo w sądzie, na placu kaźni tłum oczekiwał z niecierpliwością skazanego syna vicekróla, a kat niedbale przechadzał się po rusztowaniu.

## XVI.

Co za straszliwa myśl taką go napeliła radością? *Fragment.*

Szczałki pułku muszkietierów munckholmских wróciły do swych koszar, budynku stojącego pośrodku wielkiego dziedzińca w murach fortecy. Gdy noc zapadła, pozamykano, według zwyczaju, drzwi budynku, do którego weszli wszyscy żołnierze, oprócz placówek, rozrzuconych po wieżach i pluton straży, stojącego przed więzieniem wojskowym, które dotykało koszar. W więzieniu tem, najbezpieczniejszem i najlepiej strzeżonem ze wszystkich więzień w Munckholm, byli zamknięci Han z Islandyi i Musdoemon, którzy nazajutrz rano mieli skończyć na szubienicy.

Han z Islandyi był sam w swojej celi. Leżał na ziemi okuty, z głową wspartą na kamieniu. Słabe światło dochodziło tu przez zakratowane okienko w grubych drzwiach dębowych, które oddzielały cele skazanego od izby dozorców, gdzie rozlegały się śmiechy, gwar, szczełk wypróżnianych butelek i łoskot kości, rzucanych na bęben. Potwór leżał w milczeniu. Nagle zaczął wołać, a po chwili w zakratowanym okienku ukazała się twarz dozorecy, który zapytał:

— Czego chcesz?

— Kolego — rzekł Han podnosząc się — zimno



mi; moje kamienne łoże twarde jest i wilgotne. Daj mi snopek słomy, abym się mógł przespać i trochę ognia, przy którym się ogrzeję.

— Słusznem jest — odparł strażnik — nie odmawiać pewnych wygod nieborakowi, który ma być jutro powieszony, choćby to nawet był szatan islandzki. Przyniosę ci więc to, czego żądasz... A czy masz pieniądze?

— Nie mam — mruknął rozbójnik.

— Choćby z kilka talarów królewskich?

— Mówię ci, że nie mam.

— Ani kilku nędznych askalinów?

— Wierzaj, że nawet tyle, żeby za to można kupić skórę szczura lub duszę człowieka.

— Kiedy tak, to wcale co innego — rzekł strażnik kiwając głową. — Nie masz powodu uskarżać się. Twoja cela nie jest tak zimną, jak ta, w której jutro spać będziesz, a jednak przysięgam ci, że nie będziesz narzekał na twarde posłanie.

Po tych słowach wyszedł, unosząc z sobą przekleństwo potwora, który zaczął gwałtownie wstrząsać swemi łańcuchami; ich ogniwa wydawały coraz słabszy odgłos, jakby je zwolna kruszyły gwałtowne szarpania.

Po chwili człowiek wysokiego wzrostu, w czerwonym stroju, z ślepa latarką w rękę, wszedł do więzienia w towarzystwie strażnika. Więzień zaprzestał mocować się z okowami.

— Hanie z Islandyi — rzekł nowoprzybyły — jestem Nychol Orugix, kat Dronthejmhuusu. Jutro o świcie będę miał honor, na placu w Drontheim, powiesić twoją ekscelencję na ślicznej, nowej szubienicy.

— Czy zupełnie jesteś tego pewny, że mnie powieszysz? — spytał rozbójnik.

— Chciałbym — rzekł kat ze śmiechem — żebyś był tak pewny, że wejdiesz do nieba po drabinie Jakuba, jak tego, że jutro pójdziesz na szubienicę po drabinie Nychola Orugixa.

— Doprawdy? — zapytał powtórnie potwór ze złośliwym spojrzaniem.

— Powtarzam ci, panie rozbójniku, że jestem katem prowincyi.

— Gdybym nie był sobą, chciałbym być tobą — rzekł rozbójnik.

— Masz słuszną moją przyjacielu, — zawołał kat, z dumą i zadowoleniem zacierając ręce — bo piękny jest mój zawód. O! moja ręka wie, ile waży głowa człowieka.

— A czy piłeś kiedy krew ludzką? — zapytał rozbójnik.

— Nie, ale bardzo często brałem ludzi na tortury.

— Czy pożerałeś wnętrzności dziecięcia, które żyło jeszcze?

— Nie, ale kruszyłem kości między tarcicami torturowego kozła, rozrywałem członki szprychami koła, tępiłem stalowe piłki na czaszkach, z których zdzierałem czupryny, rwałem rozpalonemi szczypcami drgające ciało, paliłem krew w otwartych żyłach, wlewając do nich strumienie roztopionego ołowiu albo kipiącego oleju.

— Tak — mruknął rozbójnik w zadumie — miałeś i ty swoje przyjemności.

— Wogóle jednak — mówił dalej kat — chociaż



jestes Hanem z Islandyi, jednak zdaje mi się, że z pod moich rąk więcej wyleciało dusz, aniżeli z pod twoich, nie licząc i tej, którą jutro wyzioniesz.

— Jeśli ją mam tylko. Więc ty sądzisz, kacie Drontheimhuusu, że zdołasz bezkarnie wypędzić z ciała Hana z Islandyi ducha Ingholpha Tępiciele? że on nie porwie twej duszy?

Kat głośnym wybuchał śmiechem.

— Utrzymujesz, że dusza Ingholpha porwie moja duszę? — zapytał drwiąco. — No, no, zobaczymy to jutro.

— Zobaczymy — powtórzył rozbójnik.

— Ale ja tutaj nie przyszedłem rozprawiać o twoim duchu, tylko o twojem ciele. Słuchaj mnie. Po twojej śmierci trup twój do mnie należy; prawo jednak zostawia ci możliwość sprzedania mi go. Powiedz zatem, co chcesz za niego?

— Co chcę za mego trupa?

— Tak jest. Tylko mów rzetelnie.

— A ty, towarzyszu — zapytał Han strażnika — powiedz, co chcesz za snopek słomy i trochę ognia?

Strażnik namyślał się przez chwilę.

— Dwa dukaty złotem — odparł nareszcie.

— A więc za mego trupa — rzekł rozbójnik do Orugixa — dasz mi również dwa dukaty złotem.

— Dwa dukaty złotem! — zawołał kat. — To okropnie drogo. Dwa dukaty za nędznego trupa? Ty le ci dać nie mogę.

— To go mieć nie będziesz — rzekł potwór spokojnie.

— Ha, w takim razie zostaniesz rzucony do ka-

nału, zamiast ozdabiać Królewskie Muzeum w Kopenhadze lub Gabinet Osobliwości w Berghen.

— Co mnie to obchodzi?

— Jeżeli zrobimy z sobą interes, wówczas przez długie wieki tłumy będą oglądały twój skielec, mówiąc: — Oto szczątki sławnego Hana z Islandyi! — Kości twe zostaną starannie wygładzone, połączą je miedzianymi kołeczkami i umieszczą pod wielkim kloszem szklanym, z którego kurz codzien ścierać będą. A zamiast tych honorów, pomyśl, co cię czeka, jeśli mi nie sprzedasz swego trupa... Oto rzuca cię, żebyś gnił w jakiej kostnicy, gdzie będziesz służył na pastwę dla robaków i żer dla sępów.

— Będę więc podobnym do żyjących, których bezustannie oskubują mali, a pożerają wieley.

— Dwa dukaty złotem! — powtórzył kat przez zęby — co za nadzwyczajne wymaganie! Jeżeli co nie opuścisz, kochany Hanie z Islandyi, to się nie zgodzimy.

— Jest to pierwsza i zapewne ostatnia sprzedaż jaką dokonywam w mojem życiu, chcę zatem, żeby była dla mnie korzystną.

— Pomyśl, że możesz żałować swojego oporu. Jutro będziesz w mojej mocy.

— Tak sądzisz?

Słowa te powiedziane były dziwnym tonem, na który kat nie zwrócił uwagi.

— Tak jest — rzekł — a mam pewien sposób ściągania węzła... Gdybyś był rozsądniejszy, to wygodniej bym cię powiesił.

— Mało mnie to obchodzi, co będziesz robił jutro z moim karkiem! — odparł potwór szyderezco.



— Nie mógłbyś poprzestać na dwóch talarach królewskich? Bo i co z nimi zrobisz?

— Targuj się z swoim kolegą — rzekł rozbójnik, wskazując na strażnika — on to bowiem żąda dwa dukaty za trochę słomy i ognia.

— Na piłę Świętego Józefa! — zawołał kat z gniewem — to prawdziwie oburzające, żeby sprzedawać ogień i nędzną słomę na wagę złota. Dwa dukaty!

— Bądź zadowolony, że nie żądam czterech — odparł kwaśno strażnik. — Wy to, mistrzu Nychol, jesteście zbyt skąpi, skoro nie chcecie dać biednemu więźniowi dwóch dukatów złotem za jego trupa, którego później doktorowi lub uczonemu za jakie dwadzieścia dukatów sprzedacie.

— Nigdy za trupa nie zapłaciłem więcej nad dwadzieścia askalinów — zapewniał kat.

— Za trupa nędznego Żyda albo złodzieja, to być może; ale wszystkim wiadomo, że za ciało Hana z Islandyi dostaniesz, co zechcesz.

Han pokiwał głową.

— Po co się tu wtrącasz? — zawołał opryskliwie Orugix. — Czy ja się mieszam do twego ździerstwa: do odzieży, do klejnotów, które kradniesz więźniom, do wody, którą rozcieńczasz ich chudy rosół, do różnych przykrości, jakie im sprawiasz, żeby od nich wyłudzić pieniądze? Ani myślę dać dwóch dukatów złotem.

— Bez dwóch dukatów, nie będzie ognia i słomy — upierał się strażnik.

— Bez dwóch dukatów, nie będzie trupa — powtórzył rozbójnik niewzruszony.

Kat tupnął gniewnie nogą o ziemię.

— Twoje szczęście, że się spieszę — rzekł.

Wydobył potem ze skórzanego worka pieniądze i wręczając je Hanowi, dodał zgryźliwie:

— Masz, przeklęty dyable islandzki, twoje dwa dukaty. Szatan nie dałby z pewnością tyle za twą duszę, ile ja daję za ciało.

Rozbójnik wziął dwie sztuki złota, a natychmiast strażnik wyciągnął po nie rękę.

— Daj mi wprawdzie to, co od ciebie żądałem.

Strażnik wyszedł i wrócił po chwili, niosąc soplek świeżej słomy i fajerkę pełną rozżarzonych węgla, którą położył blisko więźnia.

— Otóż to — rzekł Han, oddając mu dwa dukaty — teraz przynajmniej ugrzeję się tej nocy. Jeszcze jedno słowo — dodał dzikim głosem — wszak więzienie dotyka koszar muszkieterów munckholmских?

— Tak jest — potwierdził strażnik.

— A wiatr z której wieje strony?

— Zdaje mi się, że od wschodu.

— To dobrze.

— Co ci na tem zależy? — zapytał ciekawie strażnik.

— E, nie tak dalece — odpowiedział Han.

— Bądź zdrow do jutra — rzekł kat -- do jutra rano.

— Tak jest, do jutra — powtórzył rozbójnik dziwnym głosem.

Łoskot zamykających się drzwi nie pozwolił katowi i dozorey słyszeć szyderczego śmiechu, który towarzyszył tym słowom.



## XVII.

Czy myślałeś, że inną skończysz śmiercią?  
*A. Soumet:*

Rzućmy teraz okiem na tę część wojskowego więzienia, w której pozostawał Turiaf Musdoemon.

Czytelnik zdziwił się zapewne, że człowiek tak przebiegły i podły, przyznał się dobrowolnie do zbrodni przed sądem, który go za to na śmierć skazał; że całą winę wziął na siebie, nie zdradzając swego dostojnego pryncypała, kanclerza Ahlefelda. Nie było to jednak nawrócenie, lecz nowy manewr szatańskiej przebiegłości. Wykrycie całej jego piekielnej intrygi zmieszało go na chwilę i przestraszyło, kiedy jednak minęło pierwsze wrażenie, że zwykłym sobie zdrowym rozsądkiem spostrzegł, że nie mogąc już zgubić swoich ofiar, trzeba było pomyśleć o własnym ocaleniu. Dwie mu się przedstawiały drogi: albo rzucić całą winę na hrabiego Ahlefelda, który go tak niegodnie teraz opuszczał; albo wziąć na siebie zbrodnię, w której hrabia miał udział. Człowiek zwykły wybrałby pierwszą, ale Musdoemon wybrał drugą. Kanclerz był kanclerzem; nie zresztą nie kompromitowało go bezpośrednio w papierach, które mogły służyć za dowód tylko przeciw jego sekretarzowi tajemnemu; przytem porozumiał się on wzrokiem z Musdoemonem i to było dostateczne dla Musdoe-

mona. Intrygant zdecydował się wziąć na siebie wszystko w nadziei, że hrabia Ahlefeld ułatwi mu ucieczkę nie tak przez wdzięczność za dawną służbę, jak z potrzeby przyszłych jego usług.

Przechadzał się więc w swoim więzieniu, słabo oświetlonem małą lampą, będąc pewnym, że uwolniony zostanie w nocy. Przyglądał się murom więzienia, wzniesionym jeszcze przez pogańskich królów; dziwiła go tylko drewniana podłoga, po której jego kroki rozlegały się tak donośnie, jakby pod nią był jakiś loch podziemny. Uderzył go także, przybity do arkady sklepienia, wielki pierścień żelazny, u którego wisiał kawałek postronka. Czas upływał, a on przysłuchiwał się niecierpliwie, jak zegar wieżowy wybijał zwolna i posepnie godziny.

Nakoniec usłyszał odgłos zbliżających się kroków; serce jego zabiło nadzieją. Skrzypnęły olbrzymie zamki, odsunęły się rygle, a kiedy drzwi się otwarły, twarz więźnia zajaśniała radością.

Na progu stał człowiek w czerwonym stroju, którego widzieliśmy w więzieniu Hana. W rękę trzymał zwój sznurów konopnych, towarzyszyło mu zaś czterech ludzi czarno ubranych, uzbrojonych w miecze i halabardy.

Musdoemon miał jeszcze na sobie urzędową suknię i perukę. Strój ten zdawał się dziwić czerwonego człowieka. Skłonił się więc z uszanowaniem.

— Panie—zapytał więźnia z pewnem wahaniem— czy to z waszą łaskawością będziemy mieli do czynienia?



— Nieinaczej — odparł Musdoemon z pośpiechem, pewny, że chodziło o ucieczkę i nie zwracając uwagi na czerwony strój pytającego.

— Nazywasz się pan — rzekł ów człowiek, patrząc w rozwinięty pergamin — Turiaf Musdoemon?

— Tak, tak. Wy zaś, moi przyjaciele, przychodzicie od wielkiego kanclerza?

— Tak jest, wasza łaskawości.

— Jak tylko wykonacie wasze polecenie, nie zapomnijcie wyrazić jego łasce całej mej wdzięczności.

— Pańskiej wdzięczności?

— Oczywiście. Sam bowiem, moi przyjaciele, nie będę mógł tego tak rychle uczynić.

— Zapewne! — potwierdził jegomość w czerwieni z ironicznym uśmiechem.

— A pojmujecie, że za oddanie podobnej przysługi nie mogę się okazać niewdzięcznym.

— Na krzyż sprawiedliwego łotra, słuchając pana, możnaby pomyśleć, że kanclerz rzeczywiście oddaje waszej łaskawości jakąś ważną usługę.

— To prawda, że mi tylko oddaje sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość? Pierwszy raz słyszę podobne zeznanie przez czas dwudziestoletniego spełniania moich obowiązków. Ale czas upływa na gadaninie. Jesteś pan gotów?

— Jestem, jestem! — odparł wesoło Musdoemon, postępując ku drzwiom.

— Proszę o chwilkę cierpliwości — rzekł czerwony człowiek, kładąc na ziemi zwój sznurów.

— Po co te sznury? — spytał Musdoemon.

— Wasza łaskawość słusznie zapytuje. Przyniosłem ich więcej niż potrzeba, gdyż sądziłem, że będę miał daleko większą liczbę skazanych.

Mówiąc to, czerwony człowiek rozwijał sznury.

— No dalej, spieszmy się! — naglił Musdoemon.

— Waszej łaskawości jakoś bardzo się spieszy...

A czy nie macie, panie, już nic do powiedzenia?

— Nie, oprócz tego, co ci już mówiłem, to jest żebyś podziękował jego łasce. Na Boga, spieszmy się; chciałbym stąd wyjść jak najprędzej. Czy długą mamy drogę przed sobą?

— Drogę? — powtórzył człowiek w czerwonym stroju, podnosząc się i mierząc rozwinięte sznury. — Podróż wcale nie utrudzi waszej łaskawości; wszystko skończymy, nie wychodząc stąd wcale.

Musdoemon zadrżał.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A wy, panie, co myślicie?

— Boże! — zawołał Musdoemon błędąc — kto ty jesteś?

— Ja jestem kat.

Musdoemon zatrzęsał się, jak zeschnięty liść, poruszony wiatrem.

— To wy nie przychodzicie tutaj ułatwić mi ucieczkę? — wyszeptał gasnącym głosem.

Kat parsknął śmiechem.

— Ot! — rzekł — ułatwimy panu ucieczkę w krainę duchów, a tam z pewnością pana nie schwyca.

Musdoemon padł twarzą na ziemię.

— Łaski! łaski! — zawołał — zlitujcie się na de mną...



— Na uczeiwość — mruknął zimno kat — po raz pierwszy zwracają się do mnie z podobnem żądaniem. Czy łaska ode mnie zależy?

Musdoemon, przed chwilą jeszcze tak wesoły, włókł się teraz na kolanach, tarzając w pyłe swoją suknię, czołem bijąc o podłogę i ściskając nogi kata z głuchym krzykiem i tłumionem łkaniem.

— Dostyc tego! — rzekł kat. — Jeszczem nigdy nie widział, żeby czarna urzędowa szata tak się upokarzała przed moim czerwonym kaftanem. Kolego, proś lepiej Boga i świętych — dodał — odpychając skazańca nogą — oni cię prędzej niż ja wysłuchają.

Musdoemon został na klęczkach, gorzko płacząc, z twarzą w dłoniach ukrytą. Tymczasem kat, spiąwszy się na palce, przeciągnął sznur przez ogniwo, wiszące u sklepienia, potem spuścił go aż do podłogi i przy dolnym końcu uwiązał pętlicę.

— Ja już skończyłem — rzekł do skazanego — a ty, czy już skończyłeś z życiem?

— Nie — jęknął Musdoemon powstając — to być nie może! Dopuszczacie się jakiejś straszliwej pomyłki. Kanclerz Ahlefeld nie może być tak niegodziwy... Jestem mu zresztą zbyt potrzebny... On was nie do mnie przysłał. Pozwólcie mi uciec, a inaczej — strzeżcie się gniewu kanclerza...

— Czy nie przyznałeś — zapytał kat — że jesteś Turiafem Musdoemon?

Więzień milczał przez chwilę.

— Nie — rzekł nagle — ja się nie nazywam Musdoemon, ja jestem Turiaf Orugix.

— Orugix?! — zawołał kat — Orugix?!

A zerwawszy perukę, która zakrywała część twarzy skazanego, krzyknął zdumiony:

— Mój brat?

— Twój brat? — podchwycił skazany z zadziwieniem i zarazem z radością. — Byłżebyś?...

— Jestem Nychol Orugix, kat Drontheimhuusu, na twoje usługi, bracie Turafie.

Skazany rzucił się na szyję oprawcy, nazywając go „swoim bratem“, — „swoim ukochanym bratem.“

To poznanie się braterskie nie było wcale tej natury, żeby mogło wzruszyć serce postronnego świadka. Turiaf ścisnął Nychola z uśmiechem wymuszonym strachem, — ten zaś na jego uściski odpowiadał spojrzeniem posępnem i zakłopotanem. Patrząc na nich, możnaby powiedzieć, że to tygrys przymilający się słoniowi w chwili, kiedy potworna noga olbrzyma ma go przygnieść swym ciężarem.

— Co za szczęście, bracie Nychol! Jakże jestem rad, że cię widzę.

— Ja się z tego wcale nie cieszę.

Skazany udał, że tego nie słyszy i mówił dalej gorączkowo, drżącym głosem:

— Masz pewnie żonę i dzieci? Zaprowadzisz mnie do szanownej bratowej, żebym uściskał kochanych synowców...

— To tak, jakby się dyabeł chciał przeżegnać — wyszeptał kat.

— Będę dla nich drugim ojcem... Słuchaj mnie bracie, mogę bardzo wiele, mam wpływy...

— Wiem, że je miałeś! — odpowiedział *brat* dziko. — Teraz myśl tylko o wpływie, jaki możesz mieć u świętych.



Skazany stracił nadzieję.

— O Boże!—zawołał rozpacznie—co to ma znaczyć, drogi Nycholu? Jestem ocalony, skoro cię znajduję. Pomyśl przecie, że nas jedno nosiło łono, jedne karmiły piersi, a w dziecięctwie wspólne łączyły zabawy! Nie zapominaj, Nycholu, że jesteś moim bratem!

— Ty dotąd wcale o tem nie pamiętałeś—odparł nieubłagany Nychol.

— Nie mogę przecie umrzeć z ręki brata...

— Twoja to wina, Turiafie. Ty to zniweczyłeś moją karierę nie pozwalając, żebym został wykonawcą królewskim w Kopenhadze i rzucając mnie, jako kata prowincyi, w tę nędzną okolicę. Gdybyś nie postępował względem mnie, jak niegodny brat, nie narzekałbyś na to, co cię dzisiaj burza! Nie byłbym w Drontheimhuusie i kto inny z tobąby się załatwił. No, jużemy się dosyć nagadali, mój bracie, teraz trzeba umrzeć.

Śmierć straszliwą jest dla złego człowieka z tego właśnie powodu, że bywa piękną dla człowieka szlachetnego. Tak jeden, jak i drugi mają porzucić to, co w nich jest ludzkiego; sprawiedliwy jednak zostaje uwolniony ze swego ciała jakby z więzienia, gdy zły wyrwany jakby z fortecy. W ostatniej chwili, piekło objawia się w duszy przewrotnej, która marzyła o nicości. Dusza ta wtedy sztuka z niepokojem do posępnych wrót śmierci i znajduje tam coś więcej niż próżnię.

Skazany rzucił się na ziemię, załamując ręce z jękiem rozdzierającym.

— Miłosierdzie Boskie! Święci aniołowie z nieba, jeśli istniejecie, zlitujcie się nade mną! Nycholu, o mój

Nycholu, zaklinam cię na naszą wspólną matkę, pozwól mi żyć!

Kat pokazał mu pergamin.

— Nie mogę — rzekł — rozkaz jest wyraźny.

— Rozkaz ten mnie nie dotyczy! — wołał więzień z rozpaczą. — On mówi o jakimś Musdoemonie, a ja nim nie jestem: jestem przecie Turiaf Orugix.

— Żartujesz sobie — rzekł Nychol, wruszając ramionami. — Wiesz dobrze, że tu idzie o ciebie. Zresztą — dodał szorstko — wczoraj nie chciałbyś być dla twego brata Turiafem Orugix, dziś więc jesteś dla niego tylko Turiafem Musdoemon.

— Bracie mój, bracie! — błagał nieszczęśliwy — poczekaj chociaż do jutra! Niepodobna, żeby wielki kanclerz żądał mojej śmierci. To straszliwa pomyłka. Hrabia Ahlefeld bardzo mnie lubi. Zaklinam cię, drogi Nycholu... Wkrótce znowu będę w łaskach i wywdzięczę ci się za twoją przysługę...

— Jedną mi tylko możesz oddać przysługę, Turafie—przerwał kat.—Straciłem już dwie egzekucyje, na które najbardziej liczyłem, to jest byłego kanclerza i syna vicekróla. Zawsze mi się nieszczęści. Teraz pozostajesz mi tylko ty i Han z Islandyi. Stracenie ciebie, jako nocne i sekretne, przyniesie mi dwanaście dukatów. Pozwól mi więc czynić, co do mnie należy: oto jedyna przysługa, jakiej od ciebie wymagam.

— O Boże!...—jęknął boleśnie skazany.

— Jest to, co prawda, pierwsza i ostatnia przysługa; ale za to przyrzekam ci, że wcale cierpieć nie będziesz. No, zdaj się na wolę Bożą.

— Przekleństwo! Ocaliłem Ahlefelda, całowałem



mego brata, a oni mnie zabijają! Mam umierać wśród nocy, w ciemnym lochu, a świat nie będzie słyszał moich przekleństw, głos mój nie zabrzmie z jednego na drugi koniec królestwa, moja ręka nie rozedrze zasłony wszystkich ich zbrodni! I to żeby się doczekać takiej śmierci, skaląłem całe życie moje!... Nędzniku — mówił dalej, zwracając się do brata — chcesz więc być bratobójcą?

— Jestem katem — odpowiedział Nychol obojętnie.

— Otoż nie! — zawołał skazany i rzucił się na kata, a z jego oczu trysnęły błyskawice, jak z oczu rozwścieczonego byka. — Nie, ja tak nie umrę! Nie dlatego żyłem, jak groźny wąż, żebym miał umrzeć zdeptany, jak robak. Życie swe zakończę ukąszeniem, ale ono będzie śmiertelne.

Mówiąc to dusił, jak wroga, tego, którego przed chwilą po bratersku całował. Przymilający się i pieśzczośliwy Musdoemon pokazał teraz, czem był istotnie. Rozpacz poruszyła szatańską jego naturę; niedawno czuł się jak tygrys, teraz tygrysią wybuchnął wściekłością. Trudno zaprawdę byłoby rozstrzygnąć, który z tych braci bardziej był straszny w chwili, kiedy z sobą walczyli — jeden z bezmyślnem okrucieństwem dzikiego zwierza, drugi z posępną wściekłością szatana.

Ale halabardziści, dotychczas nieruchomi, nie zostali bezczynnymi. Pośpieszyli katowi na pomoc i wkrótce Musdoemon, czerpiący siłę tylko w swej wściekłości, musiał wypuścić z rąk swego przeciwnika. Poczem upadł twarzą na ziemię z wyciem, a kamienie posadzki drapał paznogciami.

— Umrzeć! — wołał przeraźliwym głosem — o sza-

tani z piekła! Mam umrzeć, a głos mój nie przebijie tych sklepień, moje ramię nie obali tych murów!

Schwyciono go, tym razem bez oporu. Bezużyteczne wysilenia wyczerpały go. Aby go skrepować, zdjęto z niego suknie. Wówczas opieczętowana paczka wypadła mu z pod ubrania.

— Co to jest? — zapytał kat.

Piekielna radość zajaśniała w osłupiałem oku skazanego.

— Jakże ja mogłem o tem zapomnieć? — wyszeptał. — Słuchaj, bracie Nycholu — dodał tonem poufnego zwierzenia — papiery te należą do wielkiego kanclerza; przyrzeknij mi, że mu je oddasz, a potem rób ze mną, co ci się podoba.

— Skoro się już uspokoiłeś, to ci przyrzekam, że spełnię twoją ostatnią wolę, chociaż przed chwilą postąpiłeś sobie względem mnie jak nie dobry brat. Papiery te zostaną wręczone kanclerzowi, klnę się na uczciwość Orugixa.

— Oddaj mu je sam — prosił skazany. — Przyjemność, jakie one sprawią jego łasce, może ci przynieść korzyść.

— Czy doprawdy bracie? — spytał Orugix. — No, to dziękuję ci. Może dostanę patent na wykonawcę królewskiego, nieprawdaz? Więc rozstańmy się, jak dobrzy przyjaciele. Przebaczam ci to, żeś mnie podrapał; ty zaś, przebacz mi naszyjnik ze sznura, w jaki cię przystroję.

— Kanclerz przyrzekł mi inną na szyję ozdobę.

Po tych słowach, halabardziści poprowadzili skazanego na środek celi, a kat założył mu na szyję fatalną pętlicę.



— Czy jesteś gotów, Turiafie? — zapytał.

— Jeszcze chwilkę — rzekł skazany, którego znów ogarnęła bojaźń — zlituj się, mój bracie, nie ciągnij za sznur, dopóki ci tego nie powiem.

— Wcale za sznur ciągnąć nie potrzebuję — odpowiedział kat.

Po chwili powtórzył zapytanie:

— Czy jesteś gotów?

— Jeszcze chwilę! Muszę zatem umrzeć koniecznie?

— Turiafie, nie mogę dłużej mitrężyć.

Mówiąc to, Orugix dał znak halabardzistom, żeby się usunęli od skazanego.

— Jeszcze słówko, bracie! Nie zapomnij oddać papieru hrabiemu Ahlefeldowi.

— Bądź spokojny — odpowiedział brat i po raz trzeci zapytał:

— Czy jesteś gotów?

Nieszczęśliwy otwierał już usta, ażeby błagać jeszcze o minutę życia, lecz zniecierpliwiony kat, nachyliwszy się, zakręcił miedzianą szrubą, wystającą z podłogi. Ta natychmiast usunęła się z pod nóg skazanego, który znikł w kwadratowym otworze, sznur zaś wyprężył się i zadrgał, targany konwulsyjnymi rzutami umierającego. Z otworu powiał prąd lodowatego powietrza, w jego przepaścistej głębi słychać było plusk wody.

Halabardziści, zdjęci przerażeniem, cofnęli się. Kat zbliżył się do otworu, uchwycił ręką za kołyszącą się sznur i zawiesiwszy się na nim, wsparł silnie stopy

na ramionach swej ofiary. Sznur wyprężony, jak struna, przestał się kołysać.

— Już po wszystkim — rzekł kat, wracając na posadzkę celi więziennej. — Żegnaj cię bracie.

Powiedziawszy to, dobył nóż z za pasa.

— Idź na żer dla ryb zatoki — mruknął. — Niechaj twoje ciało stanie się łupem wody, jak dusza będzie łupem ognia.

Przeciął sznur i w tej chwili rozległ się plusk ciała, upadającego do głębokiej wody, która podziemną drogą płynęła do zatoki.

Potem zamknął kłapę w ten sam sposób, jak ją otworzył, a kiedy skończył swoją pracę, spostrzegł, że cela była pełna dymu.

— Co to jest? — zapytał halabardzistów — skąd się wziął ten dym?

Halabardziści, niemniej zdziwieni, nie umieli odpowiedzieć. Otworzyli drzwi celi: korytarze również były pełne gęstego, gryzącego dymu. Zaniepokojeni, dostali się przez tajemne przejście na dziedziniec, gdzie straszliwy zobaczyli widok.

Więzienie wojskowe i koszary muszkietierów były ogarnięte pożarem, który silny wiatr wschodni podsycał. Płomienie pełzały po kamiennych ścianach, unosiły się po nad dachy, wybiegały, jakby z paszcz smoków piekielnych. Czarne wieże munckholmskiego zamku chwilami jaśniały czerwonawem światłem, to znowu ginęły w gęstych chmurach dymu.

Jeden ze strażników, uciekających z więzienia, objaśnił ich w kilku słowach, że ogień powstał w celi



Hana z Islandyi, któremu dostarczono trochę słomy i ognia.

— Prawdziwe prześladowuje mnie nieszczęście! — zawołał Orugix — pewnie mi się teraz wymknął i Hana z Islandyi. Nędznik spalił się niewątpliwie i nie będę miał nawet jego ciała, za które zapłaciłem dwa dukaty złotem.

Tymczasem nieszczęśliwi muszkietrzy munckholmscy, zaskoczeni pożarem we śnie, cisnęli się tłumnie do drzwi szelnie zamkniętych; słyhać było ich krzyki rozpaczne, a przez okna, ogarnięte już płomieniem, można było widzieć, jak załamywali ręce, wołając daremnie o pomoc. Niektórzy wyskakiwali na bruk dziedzińca: unikając śmierci w płomieniach, znajdowali ją na granitowych głazach.

Pożar objął cały budynek, zanim nadbiegła reszta garnizonu. Wszelka pomoc była daremną. Szczęściem jeszcze, że płonący budynek nie łączył się z innemi. Wyrąbano siekierami główne drzwi, ale już było za późno — w tej chwili właśnie całe wiązanie dachu runęło ze straszliwym hukiem na nieszczęsnych żołnierzy, pociągając w swym upadku szczyty i palące się piętra. Wówczas cały budynek znikł w tumanie kurzu i czarnego dymu, a niebawem rozpaczne jęki ucichły.

Nazajutrz rano, na kwadratowym dziedzińcu, wznosiły się tylko poczerniałe i zruinowane mury, a wśród nich piętrzyły się stosy gorejących jeszcze szczątków budynku. Kiedy ostygły nieco zgłiszczą, znaleziono wśród nich gromady zwęglonych trupów pięknego pułku

munckholmskiego z którego ocalało zaledwie kilkunastu srodze pokaleczonych żołnierzy. W miejscu, gdzie była cela, w której zamknięto Hana z Islandyi, a w której, jak się przekonano, pożar wybuchnął, znaleziono szczątki ludzkie i porozrywane łańcuchy. Szczątki należały do jednego ciała, ale odszukano dwie czaszki i tego nie umiano sobie wytłumaczyć.



## XVIII

Tak więc wszystkie zbrodnie otrzymały karę!

*Ed. Gerard.*

Hrabia Ahlefeld, błydy i zgnębiony, przechadzał się wielkimi krokami po swojej komnacie; w rękach miał paczkę papierów dopiero co odczytanych, a niekiedy gniewnie uderzał nogą o marmur posadzki i dywany ze złotemi frendzlami.

Przy drzwiach stał w unізonej postawie Nychol Orugix,

— Oddałeś mi usługę, Musdoemonie! — szeptał kanclerz przez zaciśnięte zęby.

Kat ośmielił się zapytać:

— Czy jego łaska jest zadowolony?

— A ty czego chcesz? — krzyknął kanclerz opryskliwie.

Kat ucieszony, że zwrócił wreszcie na siebie uwagę dostojnika, uśmiechnął się pełen nadziei.

— Co ja chcę, wasza łasko? Oto pragnę otrzymać urząd wykonawcy wyroków sprawiedliwości w Ko-

penhadze. Wasza łaska tem wielkiem dobrodziejstwem wynagrodzi mi dostatecznie pomyślne nowiny, które mu w tych papierach przyniosłem.

Kanclerz przywołał halabardzistów, stojących na straży u drzwi jego apartamentu.

— Chwytajcie tego łotra! On śmie drwić sobie ze mnie...

Żołnierze pociągnęli zdumionego Nychola, który odważył się jeszcze przemówić:

— Panie...

— Nie jesteś już katem Drontheimhusu! Unieważniam twój patent! — przerwał mu kanclerz, groźnie tupiąc nogą. — Precz mi z oczu! precz!

Zamknawszy drzwi gwałtownie, wziął się znów do odczytywania listów, przyniesionych mu przez kata. Odczytując je, wpadał w coraz większą wściekłość, były to bowiem dawne listy hrabiny do Musdoemona. Przekonał się z nich, że Ulryka nie była jego córką; że oplakiwany Fryderyk również zapewne nie był jego synem.

Hrabia ukarany został dotkliwie za swoje zbrodnie. Nietylko, że zemsta wymknęła mu się z ręki, ale nadto rozwiały się jego ambitne marzenia. Swoją przeszłość widział skalaną, shańbioną, swą przyszłość straconą. Chciał zgubić nieprzyjaciół, a utracił swoje wpływy, znaczenie, doradcę, nawet prawa małżonka i ojca...

Zapagnął widzieć raz jeszcze tę, która go zdradziła. Przeszedł przez wielkie sale szybkim krokiem,



wstrząsając listami w swoim ręku, jakby w niej trzymał pioruny. Otworzył z wściekłością drzwi apartamentu Elpегii — wszedł.

Występna małżonka właśnie przed chwilą dowiedziała się od barona Voethauna o straszliwej śmierci swego syna Fryderyka. Wiadomość ta wstrząsnęła całą jej istotą — straciła bezpowrotnie rozum.

## EPILOG.

Opowiedziane wypadki od piętnastu dni były przedmiotem wszystkich rozmów w Drontheimie i Drontheimhuusie. Ludność miasta napróżno oczekując siedmiu kolejnych egzekucyj, zaczynała już tracić nadzieję tej przyjemności, a stare baby, nawpół ślepe, opowiadały, że owej nocy, kiedy się spaliły koszary, widziały Hana z Islandyi, unoszącego się nad płomieniami, śmiejącego się wśród ognia i spychającego na muszkietarów munckholmskich płonący dach budynku, kiedy, po nieobecności, która się tak długą zdawała Etheli, Ordener zjawił się w wieży Lwa Szlezwiskiego w towarzystwie generała Lewina Knud i kapelana Anastazego Munder.

Schumacker, wsparty na ramieniu swej córki, przechadzał się właśnie po ogrodzie. Młodzi małżonkowie zaledwie zdołali się powstrzymać, aby się nie rzucić w objęcia i musieli poprzestać na samych tylko spojrzaniach. Schumacker uściskał serdecznie rękę Ordenera, a obu towarzyszących mu powitał życzliwie.

— Młodziencze — rzekł do Ordenera — niechaj niebo błogosławi twemu powrotowi.



— Panie — odparł Ordener — wracam właśnie od mojego ojca z Berghen, ażeby uściskać drugiego ojca w Drontheim.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał starzec.

— Że pragnę, abys mi pan dał swoją córkę, szlachetny panie.

— Moją córkę? — powtórzył więzień, zwracając się do Etheli zarumienionej i drżącej.

Nagle zachmurzyło się jego czoło.

— Mój synu — rzekł po chwili — jesteś szlachetny i zacny; chociaż twój ojciec wiele mi wyrządził złego, jednak wszystko mu przebaczam dla ciebie i chętniebym patrzył na ten związek, ale jest ważna przeszkoda.

— Jaka? — zapytał Ordener zaniepokojony.

— Kochasz moją córkę, lecz jesteś pewien, że ona ciebie kocha?...

Młodzi wymienili zdumione spojrzenie.

— Tak jest — mówił dalej Schumacker. — Cenię cię i chętnie nazwałbym cię swym synem, ale moja córka na to się nie zgodzi. Właśnie niedawno wyznała mi, że czuje niechęć dla ciebie. Od czasu twego wyjazdu milczy, kiedy jej o tobie wspominam, zdaje się nawet unikać myśli o tobie, jakby myśl ta przykrości jej sprawiało. Wyrzeknij się więc swej miłości, Ordenerze. Zresztą, z miłości można się tak samo wyliczyć, jak i z nienawiści.

— Panie! — zawołał Ordener zdumiony.

— Mój ojciec!.. — szepnęła Ethel, składając ręce.

— Bądź spokojna, moja córko — przerwał jej starzec. — Małżeństwo to bardzoby mnie radowało, ale tobie nie jest miłe. Nie chcę przeto uczynić przykrości twemu sercu, Ethelo. Od piętnastu dni bardzo się zmieniłem. Nie będę cię przymuszał, jesteś wolna.

— Już nią nie jest — zauważył Anastazy Munder z uśmiechem.

— Mylisz się mój ojcze — dodała Ethel ośmielona — ja wcale nie czuję wstrętu do Ordenera.

— Jakto? — zapytał ojciec.

— Jestem... — szepnęła Ethel, ale dokończyć nie śmiała.

Ordener ukląkł przed starcem.

— Ona jest moją żoną, drogi ojcze! Przebacz mi, jak mi własny ojciec przebaczył i pobłogosław twoim dzieciom.

Schumacker, zdziwiony, pobłogosławił klęczącą przed nim młodą parę.

— W swoim życiu — rzekł — tyle razy przeklinałem, że obecnie bez wahania chwytam sposobność błogosławienia. Ale teraz wytłumaczcie mi...

Opowiedzieli mu wszystko. Starzec płakał łzami szczęścia.

— Uważałem się za mędra — mówił — a jestem stary i nie pojąłem serca młodej dziewczyny!

— A więc jestem żoną Ordenera! — zawołała Ethel z dziecięcą radością.

— Ordenerze Guldenlew — odezwał się znów stary więzień — jesteś więcej wart ode mnie, gdyż ja, w czasach swej pomyślności, nie zniżyłbym się do tego stopnia, żeby zaślubić córkę nieszczęśliwego wygnańca.



Tutaj generał ujął go za rękę i podał zwój pergaminów.

— Panie hrabio — rzekł — nie mów w ten sposób. Oto prawa do waszych tytułów, które król przysłał wam już przez Dispolsena. Jego królewska moc dodaje do tego ułaskawienie i wolność. Taki jest posag hrabiny Daneskiold, waszej córki.

— Hrabina Daneskiold! — powtórzył z kolei Schumacker.

— Tak jest, hrabio — mówił generał — powracasz do swych honorów, a i wszystkie twoje dobra są ci także zwrócone.

— Komuż to zawdzięczam? — zapytał wzruszony Schumacker.

— Generałowi Lewinowi Knud — odpowiedział Ordener.

— Lewinowi Knud! Czy ci nie mówiłem, panie gubernatorze, że Lewin Knud jest najlepszym z ludzi. Ale dlaczegoż on sam nie przyniósł mi wiadomości o moim szczęściu? Gdzież on jest?

— Oto on! — rzekł Ordener, wskazując generała, który uśmiechał się rozrzewniony do łez.

Poznanie się dwóch starych przyjaciół odbyło się wśród radosnego wzruszenia. Zmiękczyło się nareszcie serce Schumackera. Poznawszy Hana z Islandyi, przestał nienawidzić ludzi; zaczął ich kochać, gdy poznał szlachetność Ordenera i Lewina.

Wkrótce ślub, w więziennej celi zawarty, uświetniły wspaniałe uroczystości. Przed młodymi małżonkami, którzy wobec śmierci uśmiechać się umieli, życie teraz zaczynało się uśmiechać. Hrabia Ahlefeld pa-

trzył na ich szczęście, a to najokropniejszą dla niego było karą.

Anastazy Munder odebrał także zasłużoną nagrodę. Jego czternastu skazanych otrzymało ułaskawienie. Również, wskutek starań Ordenera, ułaskawiono Kennybola, Jonasza i Norbitha; powrócili oni wolni i szczęśliwi oznajmić uspokojonym górnikom, że król uwolnił ich od uciążliwej opieki.

Schumacker niedługo był świadkiem poźycia Etheli i Ordenera: wolność i szczęście zbyt silnie wstrząsnęły jego duszą, która uleciała w zaświaty cieszyć się innym szczęściem i inną wolnością. Umarł tegoż samego 1669 roku, a cios ten głęboko zasmucił młodych małżonków, jak gdyby dla przekonania ich, że na ziemi niema zupełnego szczęścia. Pochowano go w kościele w Veer, majątności Ordenera w Jutlandyi, a grób zachował mu wszystkie tytuły, których go więzienie pozbawiło. Ze związku Ordenera z Ethelą, powstał ród hrabiów Daneskiold.

K O N I E C



173535/  
2



1/3

650

173535

33027/80

ROK XXXV ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA I NAJOBFITSZA ILUSTRACYA POLSKA

# „BIESIADA LITERACKA“

PREMIUM NADZWYCZAJNE:

≡ 12 dużych tomów ≡

wyborowych powieści i romansów

NAJZNAKOMITSZYCH AUTOPÓW POLSKICH I OBCYCH

REDAKTR WYDAWCA

**Michał Synoradzki.**

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historję, pamiętniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową—słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiętki narodowe.**

### WARUNKI PRENUMERATY:

|                           |            |                      |        |
|---------------------------|------------|----------------------|--------|
| w Warszawie:              |            | na prowincyi:        |        |
| Rocznie . . .             | rb. 6      | Rocznie . . . . .    | rb. 8. |
| Półrocznie . . .          | 3          | Półrocznie . . . . . | „ 4.   |
| Kwartalnie . . .          | 1 kop. 50. | Kwartalnie . . . . . | „ 2.   |
| Zagranicą rocznie rb. 10. |            |                      |        |

Wytworna oprawa powieści, z wyciskami złożonemi na tle barwnem: 3 tomów kop. 50; 6 tomów rs. 1; 12 tomów rs. 2.

Na żądanie administracya wysyła numer okazowy bezpłatnie.

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, plac Warecki 4.**

№ telefonu 78-26.